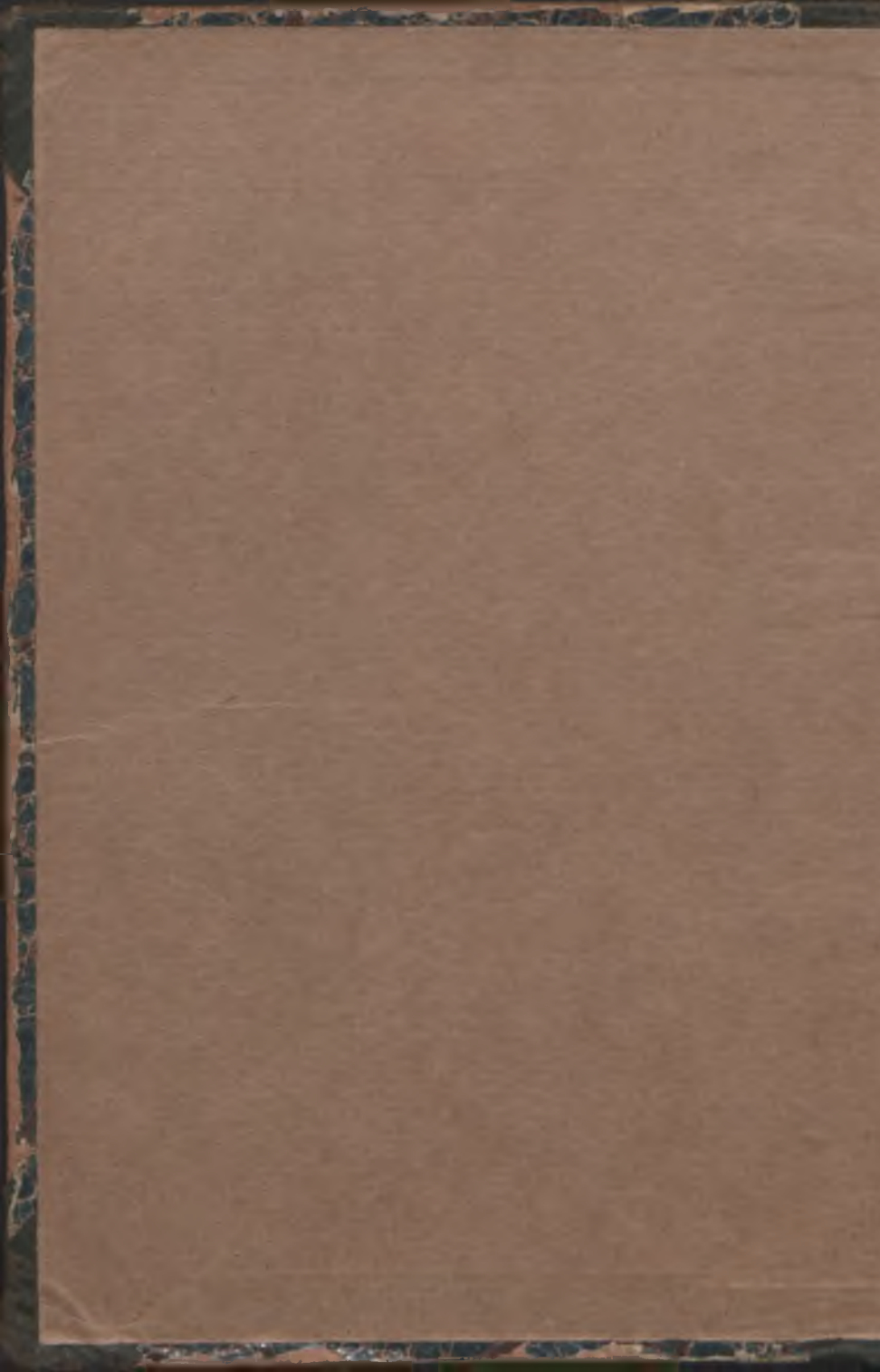
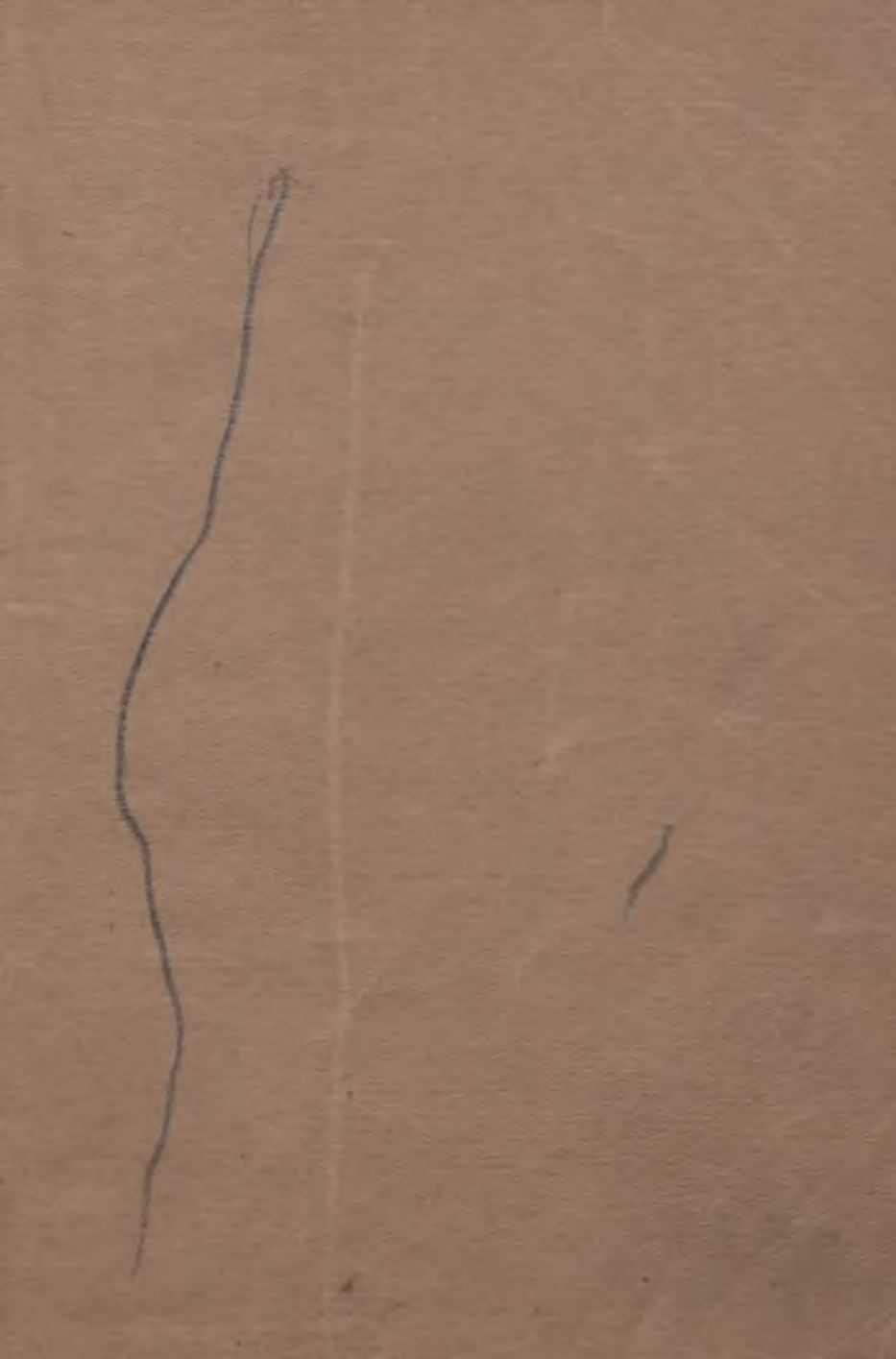


PEDAGGICZNA  
BIBLIOTEKA  
WOJEWÓDZKA  
Gdańsk  
Wolny Jagiełłowacie  
24

26907







WYBÓR PISARZÓW POLSKICH I OBCYCH DLA DOMU I SZKOŁY — № 8

---

ZYGMUNT KRASIŃSKI

— o —

# NIE-BOSKA KOMEDYA

ze wstępem i objaśnieniami

HENRYKA GALLEGÓ

Wydanie drugie, przejrzone i poprawione



NAKLAD GEBETHNERA i WOLFFA  
WARSZAWA — — — LUBLIN — — — ŁÓDŹ  
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA.

SKŁADY GŁÓWNE:

Poznań — M. Niemierkiewicz.  
New York, The Polish Book Importing Co., Inc.

k. 2521/59



26907

884-2

Gprüft und freigegeben Presseverwaltung, Warschan, d. 5.-IX. 1918.  
T. Nr. 11325. Dr. Nr. 296.

Zakł. Graf. B. Wierzbicki i S-ka, Warszawa, Chmielna 61.

Chwila napisania „Nie-Boskiej Komedyi“ przypada na epokę dojrzewania duchowego Zygmunta. Miał on wówczas lat 21, dojrzewanie więc było niewątpliwie przedwczesne. Złożył się na to cały łańcuch różnorodnych przyczyn. Jedynak w rodzinie arystokratycznej, nader starannie wykształcony, po matce, Maryi Radziwiłłównie, która go wcześniej osierociła, odziedziczył nerwowość i skłonność do melancholii, wątpliwość ciała, w połączeniu z żywością i wrażliwością umysłu. Ojciec jego, generał Wincenty Krasiński, dawny Napoleończyk, później wierny sługa Aleksandra I w wojsku polskiem, dumny i ambitny magnat, chciał widzieć w swym synu chlubę rodu, lubił, gdy go podziwiano, jako „cudowne“, jakbyśmy dziś powiedzieli, dziecko, cieszył się z jego przedwczesnego rozwoju.

W listopadzie 1828 r. Zygmunt zamieszkał w Genewie. Pilne czytanie poetów, zwłaszcza angielskich, historyków i filozofów, słuchanie wykładów np. prof. Pelegrina Rossi'ego, wybornego znawcy historii Rzymu, wspólna wycieczka w Alpy Berneńskie z Mickiewiczem, starszym o lat kilkanaście, już głośnym poetą, serdeczna przyjaźń, którą zawarł z młodym, inteligentnym Anglikiem arystokratycznego rodu, Henrykiem Reeve'em, wreszcie nieszczęśliwa miłość do młodej Angielki, Henryetty Willan, z którą ojciec nie pozwolił mu się połączyć, wszystko to rozszerzało jego widnokrąg umysłowy, pogłębiało ducha.

Ale najważniejszym bezsprzecznie czynnikiem była bystra obserwacja zjawisk życia społecznego. Od czasu kongresu wiedeńskiego (1815 r.) prądy rewolucyjne zaczęły coraz głębiej nurtować policyjno-monarchiczny ustrój państw Europy. Od Petersburga (zamach grudniowców 1825 r.) do Paryża (rewolucja lipcowa 1830 r.), wszędzie dawały się spostrzegać niepokojące objawy wrzenia, które z coraz wzrastającą potęgą wystąpiły pod koniec trzeciego dziesiątka lat XIX w., wywołując jednocześnie nieomal rewolucję we Francji, Belgii i Polsce.

Do czynników politycznych w tych ruchach przyłącza się jeszcze nowy pierwiastek, który w „Nie-Boskiej Komedii” znajdzie doskonały wyraz artystyczny, mianowicie ekonomiczno-społeczny. Kiedy Krasiński bawił w Genewie, w Lyonie wybuchły wśród pracowników fabryk jedwabiu rozruchy robotnicze, które miały przebieg bardzo krwawy: w starciu z wojskiem padło przeszło tysiąc trupów, jakiś czas nawet powstańcy byli panami miasta, zanim ściągnięto dostateczną ilość wojska.

Jednocześnie w Paryżu uczniowie myśliciela społecznego i ekonomisty, ojca późniejszego pozytywizmu i socjalizmu, autora słynnego dzieła: „Nowy chrystyanizm” („Le nouveau christianisme”), Saint-Simona († 1825 r.), zwłaszcza Bazard i Enfantin, oraz Żyd francuski, Olinde Rodrigues, głoszą hasła przeobrażenia ustroju politycznego, hasła wyzwolenia kobiety i warstw pracujących, wspólności posiadania, zwalczają katolicyzm i przywileje kastowe, tworzą nową religię, organizują swoje gminy, nie tylko w Paryżu, ale i na prowincyi, oparte na zasadach kolektywizmu (wspólnej własności).

Wydawali oni pismo p. t. „*Le Globe*”, w którym głosili hasła wywrotowe. „Nie macie już ołtarzy — pisał tam Enfantin — Trony się chwieją, Rodziny są w rozdarciu: niema Boga, niema Królów, niema Miłości. Nowa Religia, nowa Polityka, nowa Moralność — oto, co wam przynoszę”. „Wy wszyscy — pisał „*Le Globe*” dn. 5 marca 1831 — co chcecie porządku, pokoju, bezpieczeństwa, nie mówcie, że my wywołujemy przewrót ogólny; otwórzcie oczy, wszędzie



jest przewrót dokonany, wszystko pada, wszystko wali się dokoła was: tron, ołtarz, świątynia, pałac". A Bazard wołał kiedyś na posiedzeniu saint-simonistów: „Jesteśmy równocześnie dziedzicami katolicyzmu i kontynuatorami rewolucyi; chcemy zniszczyć resztki tronu i ołtarza, a na tych ruinach odbudować społeczeństwo i władzę“.

Krasińskiego w rok po przybyciu do Genewy czekała znowu boleść. Wieść o rewolucyi listopadowej zastała go w Rzymie, zadumanego nad upadkiem niezmiernej niegdyś potęgi Cezarów. Pierwszą myślą było, oczywiście, rzucić się na pole walki. Ale surowy zakaz ojca trzymał go, jak na uwięzi.

Pozostawał więc Zygmunt beczynnie od marca 1831 r. w Genewie, pełny rozpacz i rozterki duchowej, z pierwszymi objawami choroby oczu. Prócz pisania, największą jego przyjemnością w owym czasie przełomowym była korespondencya, zwłaszcza serdeczna wymiana listów (francuskich) z Henrykiem Reeve'em, a także lektura. Zapoznaje się Krasiński w tym przełomowym okresie życia bliżej z filozofią, a zwłaszcza z filozofią społeczną Zachodu: dziełom myśliciela francuskiego, Piotra Ballanche'a, zawdzięcza głęboką wiarę w moc odradzającą cierpienia ludzkiego, filozof francuski Wiktor Cousin obznajmia go z zasadami myślenia abstrakcyjnego, rozczytywanie się w historykach Francyi, Guizot'cie i Michelet'cie, rodzi w nim myśl o nieustannym postępie rozwojowym ludzkości.

Bada też Krasiński pilnie i z niepokojem objawy życia społeczno-ekonomicznego. Zajmuje go bardzo doktryna wolnomularzy, a bardziej jeszcze poczynania saint-simonistów. Zapoznał się z ich naukami dzięki Reeve'owi, którego wpływ na ukształtowanie się pojęć społecznych Krasińskiego nie da się zaprzeczyć. On to zwrócił uwagę swego młodego przyjaciela-Polaka na idee, głoszone w „*Le Globe*“, i na wynikające stąd groźne niebezpieczeństwo dla dzisiejszego porządku społecznego. „*Le Globe*“ też było głównym źródłem poznania saint-simonizmu i jego istoty; artykuły tego czasopisma odzywają się donośnem echem po kartach „Nie-Boskiej Komedyi“.

A poglądy naszego poety na przejawy życia zbiorowego ludzkości były w tym okresie pełne pesymizmu i lęku. Pesymizm był zasadniczym tonem jego duszy od zarania myśli. A teraz cierpienia fizyczne i duchowe uczyniły go jeszcze wrażliwszym na niepokojące objawy życia społecznego. Zaczęła w nim coraz bardziej nurtować myśl, że świat dzisiejszy, jak niegdyś państwo Rzymskie za Cezarów, stoi na skraju przepaści, że wkrótce nastąpi straszliwy kataklyzm, w którym zginą wszystkie ostoje dzisiejszego bytu politycznego państw europejskich. Już latem 1831 r. w listach Zygmunta do Reeve'a odzywa się nuta trwogi i przygnębienia.

A w listopadzie tegoż roku, po rewolucyi robotniczej w Lyonie, pisze w jednym z listów: „Oczywistem jest, że szybko zbliża się upadek teraźniejszego towarzystwa europejskiego, że wszędzie równowaga zerwana, nadpsuta zgoda, nadwątlone posady, i pod zasłoną zawichrzeń i nieładu coś nowego, nieznanego, o którym nie domyślamy się nawet, usiłuje wyjść na wierzch i świat ten zagarnąć. W podobnem jesteśmy położeniu do państwa Rzymskiego, konającego pod napadem barbarzyńców... Jedynym tu puklerzem jest wiara w Chrystusa“.

Do Reeve'a zaś pisze w dn. 17 lutego 1832 r.: „Tak, zgadłeś, saint-simoniści są antychrystami naszej epoki“. „Ja sądzę—pisał w styczniu tegoż roku—że saint-simoniści spełnią swe przeznaczenie, a przeznaczeniem ich jest—stać kiedyś na czele wielkiego ruchu proletaryuszów; wtedy przyjdą dni próby, które zachwiałyby nawet wybranych, jeśliby Bóg nie przyśpieszył ostatniego dnia świata“.

Do tego ponurego obrazu dążności wywrotowych przyłącza się jeszcze i ta okoliczność, że poeta, zgodnie z zapatrywaniami swego ojca, po upadku rewolucyi listopadowej przyszedł do przekonania, iż zgubili ją klubiści, dążący do rewolucyi społecznej. „Klubiści—pisze dn. 14 lipca 1832 r.—nas zgubili... Ci nędzni szewcy, przechrzty i krawcy, chciwi pieniędzy, nie wiedzący nic o Polsce i o jej przeszłości... Poza arystokracją nic niema w Polsce, ani talentów, ani światła, ani poświęcenia. Nasz stan trzeci to marność; nasi

chłopi to maszyny. My tylko jesteśmy ludźmi w Polsce... Radykalizm nas podniesie, by nas obalić i zgładzić nas z powierzchni ziemi... Pracujemy na naszą zgubę, mimo to pracujemy: to nasza powinność, a Bóg nas widzi; potem przyjdzie szubienica i wieczność". Do tych klubistów zaliczał też Krasiński Leona Łubieńskiego, niegdyś przyjaciela i kolegę, teraz śmiertelnego wroga, który przyszłego twórcę „Przedświtu“ znieważył w uniwersytecie w Warszawie za odmówienie udziału w demonstracyjnym pogrzebie marszałka Piotra Bielińskiego (zobacz przedmowę do „Irydiona“, Wybór pisarzy polskich № 12). A przytem, w pierwszych dniach rewolucyi lud warszawski, prowadzony przez członków klubu patryotycznego, zagroził śmiercią generałowi Krasińskiemu, rzucił się nań i byłby go rozszarpał, gdyby Chłopicki nie osłonił go własną pierśią; o tem syn nie mógł zapomnieć.

Przytoczone tu urywki korespondencyi, a także wiele innych świadectw, np. fragmenty zniszczonego utworu francuskiego, napisanego pod bezpośredniem wrażeniem 1831 r., p. t. „Adam le Fou“ („Adam Szaleniec“), oraz powiastki francuskiej w stylu Balzac'a p. t. „Le choléra“ („Cholera“), świadczą, że już w Genewie kiełkował w umyśle poety pomysł „Nie-Boskiej Komedyi“, a jednocześnie i pomysł „Irydiona“: dwa te utwory, z których jeden przedstawia rozkład moralny i polityczny świata nowoczesnego, drugi zaś — starożytnego, dopełniają się nawzajem.

Dwa lata jeszcze upłynęły, zanim myśl „Nie-Boskiej“ przybrała formy artystyczne. Tymczasem Zygmunt powrócił z zagranicy, po trzech latach zobaczył ojczyznę, zniszczoną powstaniem, upokorzoną, upadającą pod ciężarem represyi; a potem na rozkaz ojca pojechał do Petersburga, gdzie generał przygotowywał mu karierę dworską. Skończyło się na jednej audyencyi u Mikołaja I. Nie służył poecie klimat petersburski: ponowiła się choroba oczu i nerwów. Marzenia generała musiały ustąpić przed obawą o zdrowie jedynaka. Uzyskawszy paszport i pozwolenie na wyjazd, Zygmunt udał się do Wiednia, skąd w krótkim czasie towarzysz i przyjaciel Zygmunta, Danielewicz, donosi

jenerałowi (w liście z dn. 4 lipca 1833 r.) o nowem dziele, rozpoczętem jeszcze w kwietniu tegoż roku, gdzie bohaterem ma być „poeta, który, wzięty, jako człowiek, w sferze wypadków jest wiecznie zerem—żonę zaniedbuje i do grobu wpędza, dziecko robi nieszczęśliwym, nareszcie wśród politycznych wypadków gra bardzo zabawną rolę, bo nic nie działającą i nic nie znaczącą, i trochę na arlekina zakrawa“. Nowe to dzieło, które z początku miało nosić tytuł: „Mąż“, potem „Ludzka Komedia“ („L'Umana Commedia“) — w przeciwieństwie do „Boskiej Komedy“ („Divina Commedia“) Dantego, wreszcie zaś „Nie-Boska Komedia“, zostało ukończone we wrześniu i październiku 1833 r. w Wenecyi i wyszło w Paryżu w r. 1835, bezimiennie jak wszystkie utwory Krasińskiego.

W liście z listopada 1833 r. do Konstantego Gaszyńskiego, serdecznego przyjaciela z czasów warszawskich, tak charakteryzuje Krasiński ten pierwszy wielki swój pomysł poetycki: „Mam dramat, dotyczący się rzeczy wieku naszego; walka w nim dwóch pryncypiów: arystokracji i demokracji; tytuł: „Mąż“, rzecz, sądzę, dobrze napisana. Jest to obrona tego, na co się targa wielu hołuszów: religii i chwały przeszłości“.

Jeżeli te określenia celu i tendencji „Nie-Boskiej“ zestawimy z przytoczonym powyżej listem Danielewicz, znajdziemy tu całą charakterystykę poematu.

Bohaterem utworu, „poetą, który wzięty, jako człowiek, w sferze wypadków, jest wiecznie zerem“, jest hrabia Henryk, który imię swe zapewne zawdzięcza Reeve'owi. Do niego to odnosi się wstęp do części: pierwszej, jedno z arcydzieł prozy poetyckiej.

Henryk żyje tylko poezją, marzeniami i dlatego w świecie rzeczywistym jest „wiecznie zerem“, on tego świata nie zna, nie rozumie, nie chce go rozumieć, bo rzeczywistość wydaje mu się czemś pospolitem i obrzydłym, niegodnym jego uwagi. On nie chce wiedzieć, że życie wkłada na niego pewne obowiązki, nie poczuwa się do nich; zresztą, żyjąc tylko wyobraźnią, nie zna rzeczywistych uczuć, nikogo, prócz siebie, szczerze nie kocha. Goni marę

poetyczności, uosobioną w postaci Złego Ducha, przemienionego czarami w piękną dziewczęcę, i w pogoni tej nie uważa, co na drodze, depce oddane mu bezgranicznie serce dobrej, cichej, łagodnej, pobożnej, chociaż prostej i prozajicznej Maryi. We wstępie tym Krasiński przeprowadza myśl, że poezya bez serca jest uludą i nicością, że prawdziwy poeta powinien być poetą słowa i czynu zarazem, mieć wyobraźnię błyskotliwą, ale i gorące uczucie. Mówiąc o tym, co nie oddzielił się od miłości „przepaścią słowa“, Krasiński miał zapewne na myśli Mickiewicza, o którym tak pisze w liście do generała poety, Franciszka Morawskiego, z Petersburga z dn. 30 stycznia 1833 r.: „Poznałem także za granicą Mickiewicza. W nim jest prawdziwa poezya, bo szuka prawdy i jedynie prawdy, umrze z głodu, a nie będzie zmyślał fałszywych uczuć; od niej dostało mu się natchnienie, jakie znamionuje wieszcz, połączone z wielką potęgą myślenia i rozumowania. Do tego jest wielka harmonia między jego wyobraźnią a jego sercem“...

Rozpoczyna się utwór szeregiem scen krótkich, a jednak pełnych treści: często jednym zwrotem, jednym wyrazem poeta wybornie charakteryzuje swoje postacie, tak główne: Henryka, Maryę, jak i drugorzędne: Ojca chrześnego, gości na chrzcinach, żonę doktora w szpitalu obłąkanych i t. p. Za swój egoizm i lekceważenie uczuć ludzkich Henryk zostaje surowo ukarany: nieszczęśliwa żona nie może sprostać orlim wzlotom jego wyobraźni, biedną jej głowę rozsadza chaos jego szczytnych myśli, dostaje pomieszania zmysłów — w obłąkaniu mieni się poetką; co dla niego było pozą, frazesem, deklamacją, dla niej staje się szaleństwem i przyczyną śmierci.

O stosunku poety do życia pisze sam Krasiński do Reeve'a dn. 4 kwietnia 1833 r., właśnie w chwili rozpoczęcia „Nie-Boskiej Komedy“, co następuje: „Sztuka jest tylko prawdą prawdy, uczuciem uczucia, a nie uczuciem samem. Istnieją dla artysty rozkosze niewysłowione, jak przytem jest przeznaczeniem jego cierpieć więcej, niż ktokolwiek na świecie. W istocie jego egoizm jest wzniosły; ale zawsze jest to egoizm... Nie zazna on nigdy, co to

znaczy prawdziwie kochać; bo dla niego wszystko jest nim samym... Kocha on więc arcydzieła; ale nie kocha niczego poza tem... Żyje pośrodku ludzi, jak Kain, z piętnem klątwy na czole“.

Słowa powyższe są doskonałym komentarzem do postaci hrabiego Henryka w I i II części poematu i świadczą o tem, jak bystro podpatrzył Krasiński niepokonaną trudność zharmonizowania życia i poezji. Należy dodać, że, kreśląc charakter bohatera „Nie-Boskiej“, Krasiński korzystał z pewnych motywów z „Manfreda“ Byrona.

Część drugą poprzedza prześliczny portrecik: to smutne, przedwcześnie rozwinięte, żyjące tylko duchem dziecko — to on sam, Zygmuntek Krasiński, z czasów, kiedy „nie hasał na kijku, nie bawił się lalką“, ale pożerał książki, pochłaniał wiedzę i, 13-letni chłopiec, pisywał ponure, nastrojowe listy do ojca.

Piękny ten wizerunek Orcia, skreślony delikatnymi rysami, uzupełniają się w następnych, subtelnym i wyrzeźbionych scenach, w które poeta wplótł tyle osobistych wrażeń tak z czasów dzieciństwa, jak i z późniejszej epoki 1831 — 1832 r. (choroba oczu). Na Henryka spada sroższa jeszcze kara, dotykając go w osobie jedynej istoty, którą w całym swem życiu kochał naprawdę, Orcia: jakby na urągowisko, Orcio jest poetą, i to właśnie jest jego przekleństwem, bo wątle, jak pajęczyna, ciało dziecka ugina się pod ciężarem myśli i wrażeń poetyckich. Orcio ślepie, a ojciec jego, wyzuty ze wszelkiej chęci do życia, idzie szukać czczej chwały w walce z braćmi swymi. Łagodny-smutek Orcia, rozpacz, szczerą rozpacz Henryka, lodowata obojętność otaczających (Ojciec chrzestny, krewni, lekarze), wszystko to odtworzone jest z wielką wypukłością, choć niewielu rysami. Henryk, który w końcu drugiej części staje na rozdrożu, nie pójdzie za głosem Anioła-Stróża, który nawołuje go do miłości „schorzałych, zgłodniałych, rozpaczających“, bo on kochać nie umie, on nigdy nie znał, co serce; natomiast porwie go za sobą w wir walki beznadziejnej Orzeł, symbol sławy znikomej, ale olśniewającej podnieconą chorobliwie wyobraźnię. Henryk-poeta, człowiek, co „w sferze wypad-

ków jest wiecznie zerem", nie mógł być inaczej postąpić. Na tem zamyka się druga część „Nie-Boskiej“, która łącznie z pierwszą stanowi zamknięty w sobie dramat rodzinny. Druga połowa utworu, luźno związana z pierwszą, stanowi dramat społeczny.

Wstęp do trzeciej części, pełny ponurych barw obraz, pędzlem prawdziwego artysty narzucony, wprowadza na scenę nowych, prócz Henryka, aktorów tego dramatu. Można ich podzielić na dwie grupy: tłum, długo krzywdzony i wyzyskiwany, podniecony fizycznym wprost pożądaniem jada i napoju, pełen dzikich, krwawych instynktów, jakie zawsze rozwijają się w gromadach ludzkich, i przywódców, tych właśnie, których poeta w liście do Gaszyńskiego nazywa „hołyszami, targającymi się na religię i chwałę przeszłości“.

A każdy z nich inny: Przechrzta to zimny, wyrachowany egoista, dla którego rewolucya to mętna woda, w której łatwo ryby łapać; jak i cały chór przechrztów, nienawidzi on arystokrację, nienawidzi demokratów, nienawidzi chrześcijan, zna tylko interes własny; podobne zresztą obniżenie ideałów życiowych i karyerowiczostwo mógł poeta widzieć w Warszawie po r. 1831, kiedy żądza z bogacenia się opanowała umysł i serca. Leonard, którego dopiero w jednej z następnych scen zobaczymy, to fanatyczny wyznawca i prorok, doktryner społeczny, rozumny i bystry — ale serca w nim niemasz. Pankracy wreszcie, którego świetny portret widzimy we wstępie, największy z nich duchem, przestał już wierzyć w siebie samego, zwątpił o słuszności swej sprawy, walczy jeszcze, ale już gardzi tłumem, nie kocha go, może go nigdy nie kochał. Te wszystkie, tak różne, a pomimo to podobne do siebie postacie to wcielenie dążeń i hasel saint-simonistów; wiadomo też, że w ich organizacji Żydzi (jak Przechrzci w „Nie-Boskiej“) odgrywali poważną rolę.

Musimy rozwiązać jedną jeszcze pozorną sprzeczność: dlaczego Krasiński, który tak gorąco czuł krzywdy ludu, wodzów demokracji, którzy wszak w imieniu tego ludu i jego praw występują, uczynił tak mało sympatycznymi? dlaczego, choć słuszność jest za nimi, nic uczynić nie mogą dla przy-

szłości? Odpowiedź łatwa: jak Henryk w sferze swoich stosunków jest „wiecznie zerem“, bo i nic i nikogo nie kochał, prócz siebie i myśli swoich, tak wodzowie demokracji, którym obca jest miłość szczerą i gorącą, giną marnie, nie osiągnąwszy celu swych marzeń i ambicji, bo brak im — dobrej woli.

Środkowe sceny trzeciej części są najważniejsze w poemacie. W całej literaturze naszej nie znajdziemy utworu, któryby w tak genialny sposób zobrazował istotę ruchów rewolucyjnych, odsłonił je w całej nagości prawdy. Wyróżnia się pod tym względem scena, w której Henryk, wiedziony może ciekawością, a może i potrzebą serca, ostatniem echem głosu Anioła-Stróża, udaje się do obozu demokratów. Nasuwające mu się przed oczy obrazy jakże smutne i jakże prawdziwe! choć od napisania „Nie-Boskiej“ upłynęły trzy ćwierci wieku, nie straciły one nic ze swojej wartości. Wszystkie rewolucje europejskie: od lutowej 1848 r. w Paryżu do rosyjskiej 1917 — 1918 r., to żywe ilustracje „Nie-Boskiej“, to wymowne dowody genialnej intuicji poety. Kilku rysami Krasiński zaznacza tu z wielką trafnością różnorodne strony ruchów rewolucyjnych, od krwawych namiętności w Chórze Rzeźników do zawiązku przyszłej dyktatury wojskowej w osobie generała Bianchettiego.

Do tego groźnego obrazu przyszłej rewolucji, na tle ciemności nocnych, rozświetlonych krwawymi odblaskami ognisk i pochodni, wielka scena między Henrykiem a Pankracym w zamku Świętej Trójcy niewiele już nowego dodaje. Pankracy przychodzi kusić swego przeciwnika, którego wyższość duchowa gniewa go, mógłby go zgnieść mrowiem swego ludu, ale chce odnieść nad nim większy tryumf — moralny. „Lecz do porozumienia nie dojdzie, bo pomiędzy nimi nie było dobrej woli, nie było miłości. Hrabia Henryk i Pankracy, jako wcielenia wzajemnych nienawiści społecznych, nie mogą dojść do „polubownej ugody“; muszą znieść się, unicestwić nawzajem, a wtedy wszystkie krzywdy i wszystkie kłamstwa starego świata znikną na zawsze z oblicza ziemi. Wysoce bezstronny poeta obu ich potępił.



Obrazem tego nieuniknionego starcia jest czwarta część „Nie-Boskiej Komedii“, rozpoczynająca się od pięknego krajobrazu, jedyne w całym poemacie. To wszystko, co nastąpi, jest tylko epilogiem; dramat społeczny rozegrał się już w scenie między Henrykiem a Pankracym. Henryk widzi się u szczytu swych marzeń poetyckich: jest wodzem, rozkazuje tysiącom. Nikczemność obrońców okopów Świętej Trójcy zaznacza doskonale w kilku scenach, dodać należy, iż podobne objawy upodlenia mógł poeta postrzegać wśród arystokracji polskiej po r. 1831 w Warszawie. Jeden Henryk góruje nad nimi. Ale niedługo trwa ta jego „pieśń ostatnia“. Jeszcze jedna, ważna pod względem ideowym, scena, w której Orcio prowadzi swego ojca do podziemi zamkowych, by wysłuchał wyroku potępienia na siebie i na całą swą kastę, i rozwiązanie zbliża się szybko: ostatnia twierdza arystokracji zdobyta, Henryk rzuca się w przepaść, demokraci tryumfują. Ale tylko pozornie. Pankracy, przeznaczenie od innych, czuje to. Oto widzi na niebiosach promienną postać Chrystusa, nie może znieść tego widoku i — kona.

Rozwiązanie to, faktycznie trochę niespodziane, ideowo — jest najzupełniej usprawiedliwione. Zginął Henryk, musi zginąć i jego zaprzeczenie — Pankracy. Ci nic zbudować nie mogą, bo nienawiścią nic zbudować się nie da. Zjawia się Chrystus, zrazu jako Mściciel, karzący zbrodnie starego świata; ale nadejdzie czas — i ten Bóg miłości stanie się Budownikiem wielkiego jutra narodów, a potem już nie będzie krzywdy i ucisku, nie będzie nienawiści, jeno miłość wiekuista, braterstwo i zgoda.

Takim akordem wiary, nadziei i miłości kończy się ten utwór, pełny barw ciemnych i posępnych, rozstroju i nienawiści, ten „wielki poemat o braku serca“, jak go nazwano (Kleiner). Pesymizm, przeważający dotąd w twórczości i w życiu Krasieńskiego, wypływający z przenikliwej obserwacji stosunków społecznych, z badawczej myśli i krytycznej rozważki, ustępuje w ostatniej chwili miejsca podniosłemu optymizmowi, którego źródło kryje się w wierze gorącej w moc nieprzemogoną nakazów moralnych, w płomiennem

uczuciu miłości bliźniego. Tylko że dzisiejszy świat daleki jest jeszcze od tych wzniosłych ideałów: „Na tej ziemi nigdzie ideałów niema, są one tylko w sercu naszym, jako przecucia, i w niebie, jako rzeczywistość, ludzkie zaś życie oddane analizie potu i krwi“ — pisze do K. Gaszyńskiego w dn. 7 lipca 1833 r.

Nie dość więc, że „Nie-Boska Komedya“ posiada wielką doniosłość społeczno-polityczną, jako wielki a przede wszystkim trafny obraz nurtujących w głębi społeczeństw europejskich prądów rewolucyjnych. Nie dość, że odznacza się, jak widzieliśmy, wielu zaletami artystycznymi. Nad wszystkim góruje dążność moralna: idea wielkiej, wszechpojętej miłości.

Nadmienić wreszcie wypada, że już w owym okresie Krasiński zamyślał o dalszych częściach „Nie-Boskiej Komedy“, którą chciał rozwinąć w trylogię: II część miała opowiadać o młodości hr. Henryka i Pankracego, cz. II — stanowił znany nam poemat, w cz. III — zamierzył poeta opowiedzieć dalsze dzieje hr. Henryka, cudownie ocalonego „przez duchy Pańskie“. I część, odnalezioną we fragmentach pośmiertnych poety, wydał przyjaciel jego, Konstanty Gaszyński, p. t. „Niedokończony poemat“ (właściwszy jej tytuł jest: „Nie-Boskiej Komedy“ część I), III Krasiński nigdy nie wykonał, natomiast pomysł jej przerodził się z czasem w nową kreację poetycką, w „Przedświt“.

oooooooooooo

## WAŻNIEJSZE OPRACOWANIA.

### A. DZIEŁA OGÓLNE.

*Klaczko Julian.* La poésie polonaise au XIX siècle et le poète anonyme (Revue des deux mondes, 1862, styczeń); przekład polski w „Dzienniku literackim“ lwowskim w r. 1862, a także w zbiorach pism Klaczki: „Pisma polskie“ (Warszawa, 1902) i „Szkice i rozprawy“ (Warszawa i Kraków, 1904).

- Tarnowski Stanisław.* Zygmunt Krasiński. Studya do historii literatury polskiej. Wiek XIX (Kraków, 1892, II wyd., Kraków, 1912).
- Kallenbach Józef.* Zygmunt Krasiński, Życie i twórczość lat młodych, 2 tomy (Lwów, 1904).
- Kleiner Juliusz.* Zygmunt Krasiński, dzieje myśli, 2 tomy, (Lwów, 1912).

## B. MONOGRAFIE.

- Mickiewicz Adam.* „Literatura słowiańska“, tom III i IV (Poznań, 1865).
- Stroka W.* „Nieboska Komedia“ i „Niedokończony poemat“ (Kołomyja, 1878).
- Blumenstock H.* „Die Ungöttliche Komödie“ von Sigismund Krasinski. (Die Dioskuren, tom IX i osobno. Wiedeń, 1880).
- Tarnowski Stanisław.* O „Nieboskiej Komedyi“ (Niwa, 1882).
- Chmielowski Piotr.* Zygmunt Krasiński pomiędzy r. 1829 a 1848 (Ateneum, 1882, t. IV).
- Marrene Walerya.* „Nieboska Komedia“ (Przegląd Tygodniowy. Dodatek. Warszawa, 1883).
- Nehring Władysław.* „Nieboska Komedia“ (Studia literackie. Poznań, 1884).
- Chlebowski Bronisław.* „Nieboska Komedia“ i „Irydion“ (Ateneum, 1884 i osobno, także Pisma t. I).
- Zdziechowski Maryan.* „Messyjańscy i słowianofile“ (Kraków, 1888).
- Zdziechowski Maryan.* „Messyjańscy i słowianofile“ (Kraków, 1888).
- Dziama L.* „Sądy współczesne o Irydionie i Nieboskiej Komedyi“ (Poznań, 1893).
- Sternał L. dr.* „Z powodu dzieła St. Tarnowskiego o Zygmuncie Krasińskim“ (Lwów, 1894, także w Przewodniku naukowym i literackim w r. 1890).
- Jellenta Cezary.* „Wszechpoemat“ (Kraków, 1894).
- Kozłowski Wł. M.* „Manfred, hr. Henryk, Płoszowski“ (Ateneum, 1894).

- Biegeleisen H.* „Komedia Nieboska“ w świetle współczesnej krytyki (Biblioteka Warszawska, 1896).
- Zdziechowski Maryan.* „Byron i jego wiek“, 2 tomy (Kraków, 1897).
- Chmielowski Piotr.* „Nieboska Komedia“, opracował dla użytku szkolnego... (Arcydzieła polskich i obcych pisarzy № 6, Brody, 1902).
- Wilkosz Jan.* Rozbiór „Nieboskiej Komedy“ Z. Krasieńskiego, opracował w sposób przystępny... (Kraków, 1902).
- Krasieński Adam.* Z. Krasieńskiego nieznany pomysł trylogii (Pamiętkowa księga 1866—1890, prace byłych uczniów St. Tarnowskiego, Kraków, I, 1904).
- Dobrzycki Stanisław.* Z. Krasieńskiego „nieznany“ pomysł trylogii (Pamiętnik literacki, 1904, t. III).
- Kallenbach Józef.* „Lata szkolne Zygmunta Krasieńskiego“ (Lwów, 1907).
- Dobrzycki St.* „Nieboska Komedia“ (Kraków, 1907, także: Rozprawy Akademii Umiej. wydziału filologicznego, serya II, tom 27, Kraków, 1907).
- Mossoczy Wład.* „Nieboska Komedia“, objaśnił... (Tarnopol, 1908).
- Maurer H.* „Przeszłość Polski w Nieboskiej Komedy“ (Kraków, 1912).
- Wojakowski Franc.* „Ideały narodowe i ideały ogólnoludzkie“ Zygmunta Krasieńskiego (Stanisławów, 1912).
- Kostanecki Antoni.* „Boska i Nieboska Komedia, ich myśli społeczne“ (Biblioteka Warszawska, 1912, tom II, str. 201 — 244).



# NIE-BOSKA KOMEDIA

„Do błędów, nagromadzonych przez przodków, dodali to, czego nie znali ich przodkowie — wanie się i bojaźń; — i stało się zatem, że zniknęli z powierzchni ziemi, i wielkie milczenie jest po nich“.

*Bezimienny.*

„To be or not to be, that is the question“<sup>1)</sup>.

*Hamlet.*

---

<sup>1)</sup> „Być albo nie być oto pytanie“ — początek słynnego monologu Hamleta Szekspira.



Handwritten scribbles and a wavy line on aged paper.

## POŚWIĘCONE MARYI<sup>1)</sup>

---

<sup>1)</sup> Tem imieniem poeta nazywa tu panią Joannę z Morzkowskich Bóbr-Piotrowicką, którą poznał wiosną 1834 roku w Rzymie.

LIBRARY OF THE UNIVERSITY OF TORONTO



## CZĘŚĆ PIERWSZA.

---

Gwiazdy wokoło twojej głowy — pod twojemi nogi<sup>1)</sup>  
fale morza — na falach morza tęcza przed tobą pędzi i roz-  
dziela mgły — co ujrzysz, jest twojem — brzegi, miasta i lu-  
dzie tobie się przynależą — niebo jest twojem — chwale  
twojej niby nic nie zrówna<sup>2)</sup>. —

\*

\*

\*

Ty grasz cudzym uszom niepojęte rozkosze. — Spla-  
tasz serca i rozwiązujesz, gdyby wianek, igraszkę palców  
twoich — lzy wyciskasz — suszysz je uśmiechem i na nowo  
uśmiech strącasz z ust na chwilę — na chwil kilka — cza-  
sem na wieki. — Ale sam co czujesz? — ale sam co two-  
rzysz? — co myślisz? — Przez ciebie płynie strumień piękności,

---

<sup>1)</sup> Forma nieprawidłowa, często już w staropolszczyźnie uży-  
wana; pow. b.: nogami. ✓

<sup>2)</sup> Apostrofa do poezyi.

ale ty nie jesteś pięknocią<sup>1)</sup>. — Biada ci — biada! — Dziecię, co płacze na łonie mamki — kwiat polny, co nie wie o woniach swoich, więcej ma zasługi przed Panem od ciebie. —

\*

\*

\*

Skądżeś powstał, marny cieniu, który znać o świetle dajesz, a światła nie znasz, nie widziałeś, nie obaczysz! Kto cię stworzył w gniewie lub w ironii? — kto ci dał życie nikczemne, tak zwodnicze, że potrafisz udać anioła chwilą, nim zagrążniesz w błoto, nim, jak płaz, pójdziesz czołgac i zadusić się mułem? — Tobte i niewieście jeden jest początek<sup>2)</sup>. —

\*

\*

\*

Ale i ty cierpisz, choć twoja boleść nic nie utworzy, na nic się nie zda. — Ostatniego nędzarza jęk policzon między tony harf niebieskich. — Twoje rozpacze i westchnienia opadają na dół i szatan je zbiera, dodaje w radości do swoich kłamstw i złudzeń — a Pan je kiedyś zaprzeczy, jako one zaprzeczyły Pana. —

\*

\*

\*

Nie przeto wyrzekam na ciebie, poezyo, matko piękności i zbawienia. — Ten tylko nieszczęśliwy, kto na światach poczętych, na światach, mających zginąć, musi wspo-

<sup>1)</sup> Krasiński określa w ten sposób człowieka, który pięknym frazesem poetyckim okrywa czczość duszy, jest poetą słowa tylko, a nie poetą czynu. Taka poezya musi być marna, złudna i bezpłodna. Wyobrazicielem takiej poezyi jest hr. Henryk..

<sup>2)</sup> Słowa te, przypominające wykrzyk Hamleta: „Kobieto! twoje imię jest słabość”, charakteryzują słabość, nicność takiego poety.

minać lub przeczuwać ciebie — bo jedno tych gubisz, którzy się poświęcili tobie, którzy się stali żywymi głosami twej chwały. —

— \*

\*

\*

Błogosławiony ten, w którym zamieszkałeś, jako Bóg zamieszkał w świecie, niewidziany, niesłyszany, w każdej części jego okazały, wielki, Pan, przed którym się uniżają stworzenia i mówią: „On jest tutaj”. — Taki cię będzie nosił, gdyby gwiazdę, na czole swoim, a nie oddzielił się od twej miłości przepaścią słowa<sup>1)</sup>. — On będzie kochał ludzi i wystąpi mężem pośród braci swoich. — A kto cię nie dochowa, kto zdradzi zawczasem i wyda na marną rozkosz ludziom, temu sypniesz kilka kwiatów na głowę i odwrócisz się, a on zwiędłymi się bawi i grobowy wieniec spleta sobie przez całe życie. — Temu i niewieście jeden jest początek. —

\*

\*

\*

<sup>1)</sup> Poezyi słowa Krasiński przeciwstawia poezję słowa i czynu zarazem, która jedynie daje szczęście i zadowolenie; takim poetą był Mickiewicz.

ANIOŁ STRÓŻ. Pokój ludziom dobrej woli — błogosławiony pośród stworzeń, kto ma serce — on jeszcze zbawion być może — żono dobra i skromna, zjaw się dla niego — i dziecię niechaj się urodzi w domu waszym<sup>1)</sup>. — (przelatuje).

\*

\*

\*

CHÓR ZŁYCH DUCHÓW. W drogę, w drogę, widma, lećcie ku niemu! — Ty naprzód, ty na czele, cieniu nałożnicy, umarłej wczoraj, odświeżony w mgle i ubrany w kwiaty, dziewico, kochanko poety, naprzód. —

W drogę i ty, sławo, stary orle, wypchany w piekle, zdjęty z palu, kędy cię strzelec zawiesił w jesieni — leć i roztozcz skrzydła, wielkie, białe od słońca, nad głową poety. —

Z naszych sklepów wynidź, spróchniały obrazie Edenu<sup>2)</sup>, dzieło Belzebuba<sup>3)</sup> — dziury zalepiem i rozwiędziemy pokostem — a potem, płótno czarodziejskie, zwiń się w chmurę i leć do poety — wnet się rozwiąż naokoło niego, opasz

---

<sup>1)</sup> Anioł Stróż przedstawia dodatni pierwiastek w duszy Henryka; pierwsze jego słowa przypominają wyrazy chórów anielskich, słyszanych przez pasterzy pod Betleem w chwili narodzenia się Chrystusa Pana.

<sup>2)</sup> Eden — raj ziemski według podań hebrajskich.

<sup>3)</sup> Belzebub — szatan, dyabeł.

go skałami i wodami, naprzemian nocą i dniem. — Matko-  
natura, otocz poetę!<sup>1)</sup>

\* \* \*

*Wieś — kościół — nad kościołem ANIOŁ STRÓŻ się kołysz.*

Jeśli dotrzymasz przysięgi na wieki, będziesz bratem  
moim w obliczu Ojca niebieskiego (znika).

\* \* \*

*Wnętrz kościoła — świadki — gromnica na ołtarzu. —*

KSIĄDZ (ślub daje).

Pamiętajcie na to. —

*Wstaje para — MĄŻ ściska rękę żony i oddaje ją krewnemu —  
wszyscy wychodzą — on sam zostaje w kościele. —*

Zstąpiłem<sup>2)</sup> do ziemskich ślubów, bom znalazł tę,  
o której marzyłem — przekłństwo mojej głowie, jeśli ją kiedy  
kochać przestanę. —

*Komnata pełna osób — bal — muzyka — świece — kwiaty. —  
Panna młoda walcuje i po kilku okrągach staje, przypadkiem  
napotyka męża w tłumie i głowę opiera na jego ramieniu.*

PAN MŁODY. Jakżeś mi piękna w osłabieniu swo-  
jem — w nieładzie kwiaty i perły na włosach twoich — pło-  
niesz ze wstydu i znużenia — o wiecznie, wiecznie będziesz  
pieśnią moją. —

PANNA MŁODA. Będę wierną żoną tobie, jako mat-  
ka mówiła, jako serce mówi. — Ale tyle ludzi jest tutaj —  
tak gorąco i huczno. —

<sup>1)</sup> Złe duchy są wcieleniem fałszywej poetyczności Henryka,  
której gotów był wszystko poświęcić.

<sup>2)</sup> Wyraz ten doskonale określa stosunek Henryka do zawar-  
tego dopiero małżeństwa i tłumaczy późniejsze jego postępowanie.

PAN MŁODY. Idź z raz jeszcze w taniec, a ja tu stać będę i patrzeć na cię, jakem nieraz w myśli patrzył na sunących aniołów<sup>1)</sup>. —

PANNA MŁODA. Pójdę, jeśli chcesz, ale już sił prawie nie mam. —

PAN MŁODY. Proszę cię, moje kochanie. —

*(Taniec i muzyka).*

\* \* \*

*Noc pochmurna* — DUCH ZŁY *pod postacią dziewicy, lecąc.* —

Niedawnom jeszcze biegała po ziemi, w taką samą porę — teraz gnają mnie czarty i każą świętą udawać. —

*(leci nad ogrodem).*

Kwiaty, odrywajcie się i lećcie do moich włosów. —

*(leci nad cmentarzem).*

Świeżość i wdzięki umarłych dziewic, rozlane w powietrzu, płynące nad mogiłami, lećcie do jagód moich. —

Tu czarnowłosa się rozsypuje — cienie jej pukłów, za wiśnijcie mi nad czołem! — Pod tym kamieniem zgasłych dwoje ócz błękitnych — do mnie, do mnie, ogień, co tłał w nich! — Za temi kraty sto gromnic się pali — księżnę dziś pochowano — suknie atłasowa, biała jak mleko, oderwij się od niej! — Przez kraty leci suknia do mnie, trzepocząc się, jak ptak — a dalej, a dalej. —

\* \* \*

*Pokój sypialny* — *lampa nocna stoi na stole i blade oświeca męża, śpiącego obok żony.* —

---

<sup>1)</sup> Oba przemówienia Henryka w tej krótkiej scenie są niezmiernie charakterystyczne i uwydatniają kontrast charakterów: słodkiej, dobrej, prostej Maryi i fantasty, chorującego na poezję, jej męża.

MAŻ (*przez sen*). Skądże przybywasz, niewidziana, niesłyszana oddawna — jak woda płynie, tak płyną twoje stopy, dwie fale białe — pokój świętobliwy na skroniach twoich — wszystko, com marzył i kochał, zeszło się w tobie<sup>1)</sup> — (*przebudza się*). Gdzież jestem! — ha, przy żonie — to moja żona (*wpatruje się w żonę*). Sądziłem, że to ty jesteś marzeniem mojem, a otóż po długiej przerwie wróciło ono i różnem jest od ciebie. — Ty dobra i miła, ale tamta... Boże — co widzę — na jawie! —

DZIEWICA. Zdradziłeś mnie (*znika*).

MAŻ. Przeklęta niech będzie chwila, w której pojąłem kobietę, w której opuściłem kochankę lat młodych, myśl myśli moich, duszę duszy mojej...

ŻONA (*przebudza się*). Co się stało — czy już dzień — czy powóz zaszedł? — Wszak mamy jechać dzisiaj po różne sprawunki. —

MAŻ. Noc głucha — śpij — śpij głęboko. —

ŻONA. Możesz zasnąć nagle, mój drogi? Wstanę i dam ci eteru<sup>2)</sup>. —

MAŻ. Zaśnij. —

ŻONA. Powiedz mi, drogi, co masz<sup>3)</sup>, bo głos twój niezwyuczajny, i gorączką nabiegły ci jagody. —

MAŻ (*zrywając się*). Świeżego powietrza mi trzeba. — Zostań się — przez Boga, nie chodź za mną — nie wstawaj, powiadam ci raz jeszcze — (*wychodzi*).

Ogród przy świetle księżycy — za parkanem kościół.

MAŻ. Od dnia ślubu mojego spałem snem odrętwiałych, snem żarłoków, snem fabrykanta Niemca przy żonie

1) Henryk czuje zbliżenie się pokusy chorobliwej poetyczności, uosobionej w Złym Duchu, co zjawia się w postaci dziewicy; jednocześnie stosunek małżeński zaczyna mu ciążyć, jak nieznośna proza (por. następną scenę).

2) Srodek, używany często przez samego poetę podczas cierpień.

3) Gallicyzm; pow. być: co ci jest?

Niemce <sup>1)</sup> — świat cały jakoś zasnął wokoło mnie na podobieństwo moje — jeździłem po krewnych, po doktorach, po sklepach, a że dziecię ma się mi narodzić, myślałem o mamce. —

*(Bije druga na wieży kościoła).*

Do mnie, państwa moje dawne, zaludnione, żyjące, garnące się pod myśl moją — słuchające natchnień moich — niegdyś odgłos nocnego dzwonu był hasłem waszem — *(cho dzi i załamuje ręce)*. Boże, czyś Ty sam uświęcił związek dwóch ciał? czyś Ty sam wyrzekł, że nic ich rozerwać nie zdoła, choć dusze się odepchną od siebie, pójdą każda w swoją stronę i ciała, gdyby dwa trupy, zostawią przy sobie? —

Znowu jesteś przy mnie — o moja — o moja, zabierz mnie z sobą. — Jeśliś złudzeniem, jeśliś cię wymyślił, a tyś się utworzyła ze mnie i teraz obawiasz się mnie, niechże i ja będę marą, stanę się mgłą i dymem, by zjednoczyć się z tobą. —

DZIEWICA. Pójdieszli za mną, w którykolwiek dzień, przylecę po ciebie?

MAŻ. O każdej chwili twoim jestem. —

DZIEWICA. Pamiętaj. —

MAŻ. Zostań się — nie rozpraszaaj się, jako sen. — Jeśliś pięknoscią nad pięknosciami, pomysłem nad wszystkimi myśli, czegóż nie trwasz dłużej od jednego życzenia, od jednej myśli? —

*(Okno otwiera się w przyległym domu).*

GŁOS KOBIECY. Mój drogi, chłód nocy spadnie ci na piersi; wracaj, mój najlepszy, bo mi tęskno samej w tym czarnym, dużym pokoju. —

MAŻ. Dobrze — zaraz. —

---

<sup>1)</sup> Poeta w ten sposób wyobrażał sobie przyszłe pożycie z kobietą, którą mu ojciec narzuci (tak się też w samej rzeczy stało), jako coś niezmiernie prozaicznego i płaskiego.



Znikł duch, ale obiecał, że powróci, a wtedy żegnaj mi, ogródka, i domku, i ty, stworzona dla ogródka i domku, ale nie dla mnie. —

GŁOS. Zmiłuj się — coraz chłodniej nad rankiem. —

MAŻ. A dziecię moje — o Boże! (*wychodzi*). —

\* \* \*

*Salon — dwie świece na fortepianie — kolebka z uspijonem dzieckiem w kącie — Mąż rozciągnięty na krześle, z twarzą ukrytą w dłoniach. — Żona przy fortepianie. —*

ŻONA. Byłam u Ojca Beniamina, obiecał mi się na pojutrze. —

MAŻ. Dziękuję ci. —

ŻONA. Posłałam do cukiernika, żeby kilka tort przy-  
sposobił, boś podobno dużo gości sprosił na chrzciny —  
wiesz — takie czekoladowe, z cyfrą Jerzego Stanisława<sup>1)</sup>. —

MAŻ. Dziękuję ci.

ŻONA. Bogu dzięki, że już raz się odbędzie ten obrzą-  
dek — że Orcio nasz zupełnie chrześcijaninem się sta-  
nie — bo, choć już ochrzczony z wody, zdawało mi się za-  
wsze, że mu nie dostaje czegoś — (*idzie do kolebki*). Śpij,  
moje dziecię — czy już się tobie coś śni, że zrzuciłeś koł-  
derkę — ot, tak — teraz leż tak. — Orcio mi dzisiaj niespo-  
kojny — mój maleńki — mój śliczny, śpij. —

MAŻ (*na stronie*). Parno — duszno — burza się gotuje —  
rychłóż tam ozwie się piorun, a tu pęknie serce moje? —

ŻONA (*wraca, siada do fortepianu, gra i przerywa,  
znowu grać zaczyna i przestaje znowu*). Dzisiaj, wczoraj —  
ach! mój ty Boże, i przez cały tydzień, i już od trzech ty-  
godni, od miesiąca słowa nie rzekłeś do mnie — i wszyscy,  
których widzę, mówią mi, że źle wyglądam. —

MAŻ (*na stronie*). Nadeszła godzina — nic jej nie od-  
wlecze — (*głośno*). Zdaje mi się, owszem, że dobrze wy-  
glądasz. —

<sup>1)</sup> Imiona, wybrane dla ich synka, który ma być niebawem ochrzczony.

ŻONA. Tobie wszystko jedno, bo już nie patrzysz na mnie, odwracasz się, kiedy wchodzę, i zakrywasz oczy, kiedy siedzę blisko.—Wczoraj byłam u spowiedzi i przypominałam sobie wszystkie grzechy—a nie mogłam nic znaleźć takiego, coby cię obrazić mogło.—

MAŻ. Nie obraziłaś mnie.—

ŻONA. Mój Boże — mój Boże! —

MAŻ. Czuję, że powinienem cię kochać.—

ŻONA. Dobiliś mnie tem jednym: „powiniennem” — ach! lepiej wstań i powiedz — „nie kocham” — przynajmniej już będę wiedziała wszystko — wszystko. — (*zrywa się i bierze dziecko z kolebki*). Jego nie opuszczaj, a ja się na gniew twój poświęcę — dziecko moje kochaj — dziecko moje, Henryku — (*przyklęka*).

MAŻ (*podnosząc*). Nie zważaj na to, com powiedział — napadają mnie często złe chwile — nudy.—

ŻONA. O jedno słowo cię proszę — o jedną obietnicę tylko — powiedz, że go zawsze kochać będziesz.—

MAŻ. I ciebie i jego — wierzaj mi.

(*Całuje ją w czoło — a ona go obejmuje ramionami — wtem grzmot słychać — zaraz potem muzykę — akord po akordzie i coraz dziksze*).

ŻONA. Co to znaczy? — (*dziecię ciśnie do piersi*).

(*Muzyka się urywa*).

Wchodzi DZIEWICA.

O mój luby, przynoszę ci błogosławieństwo i rozkosz — chodź za mną.—

O mój luby, odrzuć ziemskie łańcuchy, które cię pętają.— Ja ze świata świeżego, bez końca, bez nocy<sup>1)</sup>. — Jam twoja.—

ŻONA. Najświętsza Panno, ratuj mnie — to widmo blade, jak umarły,—oczy zgasłe i głos, jak skrzywienie woza, na którym trup leży.—

<sup>1)</sup> T. j. ze świata wyobraźni i poezji.

MAŻ. Twe czoło jasne, twój włos kwieciami przetykany, o luba.—

ŻONA. Całun w szmatach opada jej z ramion.—

MAŻ. Światło leje się naokoło ciebie — głos twój raz jeszcze — niechajza ginę potem.—

DZIEWICA. Ta, która cię wstrzymuje, jest złudzeniem.— Jej życie znikome — jej miłość jako liść, co ginie wśród tysiąca zeschniętych — ale ja nie przeminę.—

ŻONA. Henryku, Henryku, zasłoń mnie, nie daj mnie — czuję siarkę i zaduch grobowy<sup>1)</sup>. —

MAŻ. Kobieto z gliny i z błota, nie zazdrość, nie potwarzaj — nie bluźń — patrz — to myśl pierwsza Boga o tobie<sup>2)</sup>, ale tyś poszła za radą węża<sup>3)</sup> i stałaś się, czem jesteś. —

ŻONA. Nie puszczę cię. —

MAŻ. O luba! rzucam dom i idę za tobą — (wychodzi).

ŻONA. Henryku — Henryku! — (mdleje i pada z dzieckiem — drugi grzmot).

\* \* \*

*Chrzest — Goście — Ojciec Beniamin — Ojciec chrzestny —  
Matka chrzestna — Mamka z dzieckiem — na sofie na boku  
siedzi Żona — w głębi służący. —*

PIERWSZY GOŚĆ (po cichu). Dziwna rzecz, gdzie Hrabia się podział. —

DRUGI GOŚĆ. Zabałamucił się gdzieś lub pisze. —

PIERWSZY GOŚĆ. A Pani blada, niewyspana, słowa do nikogo nie przemówiła. —

TRZECI GOŚĆ. Chrzest dzisiejszy przypomina mi bale, na które zaprosiwszy gospodarz zgra się wilią w karty, a potem gości przyjmuje z grzecznością rozpaczy. —

<sup>1)</sup> W tej rozmowie najlepiej może uwydatnia się przeciwieństwo charakterów Henryka i Maryi: on w zjawiającym się duchu dziewicy widzi wymarzoną w snach poetyckich kochankę, ona, kobieta prosta i pospolita — przebrzydłą marę, groźną dla jej szczęścia domowego.

<sup>2)</sup> Odbicie nauki Platona o wiecznych ideach, przebywających w tonie Boga, ideach, których rzeczy zmysłowe są tylko słabem i niedoskonałym odbiciem.

<sup>3)</sup> Aluzya do legendy biblijnej o grzechu pierworodnym.

CZWARTY GOŚĆ. Opuściłem śliczną księżniczkę — przyszedłem — sądziłem, że będzie sute śniadanie, a zamiast tego, jak Pismo mówi, płacz i zgrzytanie zębów. —

OJCIEC BENIAMIN. Jerzy Stanisławie, przyjmujesz olej święty?

OJCIEC i MATKA CHRZESTNA. Przyjmuję. —

JEDEN Z GOŚCI. Patrzenie, wstała i stąpa, jak gdyby we śnie. —

DRUGI GOŚĆ. Roztoczyła ręce przed się i, chwiejąc się, idzie ku synowi. —

TRZECI GOŚĆ. Co mówicie! — Podajmy jej ramię, bo zemdleje. —

OJCIEC BENIAMIN. Jerzy Stanisławie, wyrzekasz się Szatana i pychy jego?

OJCIEC i MATKA CHRZESTNA. Wyrzekam się. —

JEDEN Z GOŚCI. Cyt — słuchajcie. —

ŻONA (*kładąc dłonie na głowie dziecięcia*). Gdzie ojciec twój, Orcio<sup>1)</sup>? —

OJCIEC BENIAMIN. Proszę nie przerywać. —

ŻONA. Błogosławię cię, Orciu, błogosławię, dziecię moje. — Bądź poetą, aby cię Ojciec kochał, nie odrzucił kiedyś<sup>2)</sup>. —

MATKA CHRZESTNA. Ale pozwólże, moja Marysiu. —

ŻONA. Ty Ojcu zasłużysz się i przypodobasz — a wtedy on twojej Matce przebaczy. —

OJCIEC BENIAMIN. Bój się Pani Hrabina Boga. —

ŻONA. Przeklinam cię, jeśli nie będziesz poetą — (*mdleje — wynoszą ją sługi*).

GOŚCIE (*razem*). Coś nadzwyczajnego zaszło w tym domu — wychodzmy, wychodzmy! —

(*Tymczasem obrządek się kończy — dziecię płaczące odnosi do kolebki*).

<sup>1)</sup> Zdrobniałe od Jerzy.

<sup>2)</sup> Pierwszy to objaw rozstroju umysłowego nieszczęśliwej kobiety, która, chcąc dorównać poetycznym uniesieniom męża, dostaje pomieszania zmysłów.

OJCIEC CHRZESTNY (*przed kolebką*). Jerzy Stanisławie, dopiero coś został chrześcijaninem i wszedł do towarzystwa ludzkiego, a później zostaniesz obywatelem, a za staraniem rodziców i łaską Bożą znakomitym urzędnikiem — pamiętaj, że Ojczyznę kochać trzeba, i że nawet za Ojczyznę zginąć jest pięknie... <sup>1)</sup> (*Wychodzą wszyscy*).

\* \* \*

*(Piękna okolica — wzgórza i lasy — góry w oddali<sup>2)</sup>).*

MAŻ. Tegom żądał, o to przez długie modliłem się lata i nareszcie już blizki mojego celu — świat ludzi zostawiłem z tyłu — niechaj sobie tam każda mrówka bieży i bawi się żdźbłem swoim, a kiedy go opuści, niech skacze ze złości lub umiera z żalu. —

GŁOS DZIEWICY. Tędy — tędy. — (*Przechodzi*).

\* \* \*

*Góry i przepaście ponad morzem — gęste chmury — burza. —*

MAŻ. Gdzie mi się podziała — nagle rozplynęły się wonie poranku, pogoda się zaćmiła — stoję na tym szczycie, otchłań pode mną, i wiatry huczą przeraźliwie. —

GŁOS DZIEWICY (*w oddaleniu*). Do mnie, mój luby! —

MAŻ. Jakże już daleko, a ja przesadzić nie zdołam przepaści. —

GŁOS (*w pobliżu*). Gdzie skrzydła twoje?

MAŻ. Zły duchu, co się natrząsas z mnie, gardzę tobą. —

GŁOS DRUGI. U wiszaru góry twoja wielka dusza, nieśmiertelna, co jednym rzutem niebo przelecieć miała, ot kona! — i nieboga twoich stóp się prosi, by nie szły dalej — wielka dusza — serce wielkie. —

<sup>1)</sup> Epizodyczna postać Ojca Chrzestnego, napuszonego a zimnego deklamatora, w tym krótkim monologu występuje z wielką wyrazistością.

<sup>2)</sup> W tle krajobrazowem tej i następnych scen odbijają się wrażenia poety z pobytu w Szwajcaryi, a także i krajobraz alpejski w „Manfredzie“.

MAŻ. Pokażcie mi się, weźcie postać, którąbym mógł zgiąć i obalić. — Jeśli się was ulęknę, bodajbym Jej nie otrzymał nigdy. —

DZIEWICA (*na drugiej stronie przepaści*). Uwiąż się dłoni mojej i wleć! —

MAŻ. Cóż się dzieje z tobą? — Kwiaty odrywają się od skroni twoich i padają na ziemię, a jak tylko się jej dotkną, ślizgają, jak jaszczurki, czołgają, jak żmije. —

DZIEWICA. Mój luby! —

MAŻ. Przez Boga, suknię wiatr zdarł ci z ramion i rozdarł w szmaty. —

DZIEWICA. Czemu się ociążasz? —

MAŻ. Deszcz kapie z włosów — kości nagie wyzierają z łona. —

DZIEWICA. Obiecałeś — przysiągłeś. —

MAŻ. Błyskawica żrzenice jej wyżarła. —

CHÓR DUCHÓW ZŁYCH. Stara, wracaj do piekła — uwiodłaś serce wielkie i dumne, podziw ludzi i siebie samego. — Serce wielkie, idź za lubą swoją. —

MAŻ. Boże, czy ty mnie za to potępisz, żem uwierzył, iż twoja piękność przenosi o całe niebo piękność tej ziemi — za to, żem ścigał za nią i męczył się dla niej, ażem stał się igrzyskiem szatanów? —

DUCH ZŁY. Słuchajcie, bracia — słuchajcie! —

MAŻ. Dobija ostatnia godzina. — Burza kręci się czarnymi wiry — morze dobywa się na skały i ciągnie ku mnie — niewidoma siła pcha mnie coraz dalej — coraz bliżej — z tyłu tłum ludzi wsiadł mi na barki i prze ku otchłani <sup>1)</sup>. —

DUCH ZŁY. Radujcie się, bracia — radujcie. —

MAŻ. Napróżno walczyć — rozkosz otchłani mnie porywa — zawrót w duszy mojej <sup>2)</sup> — Boże — wróg Twój zwycięża! <sup>3)</sup> —

<sup>1)</sup> W słowach tych zamyka się jakby pierwsze przeczucie straszliwej burzy społecznej, która ma rozegrać się w III części poematu.

<sup>2)</sup> W słowach tych przebija się chęć samobójstwa, do którego nie dopuszcza Anioł Stróż, powracając Henryka na łono rodziny. Samobójczą śmiercią ginie Henryk dopiero przy końcu II części.

<sup>3)</sup> T. j. Szatan.

ANIOŁ STRÓŻ (*ponad morzem*). Pokój wam, bałwany, uciszcie się! —

W tej chwili na głowę dziecięcia twego zlewa się woda święta. —

Wracaj do domu i nie grzesz więcej <sup>1)</sup>. —

Wracaj do domu i kochaj dziecię twoje. —

*Salon z fortepianem — wchodzi Mąż — służący ze świecą za nim. —*

MAŻ. Gdzie pani?

SŁUGA. J. W. Pani słaba. —

MAŻ. Byłem w jej pokoju — pusty. —

SŁUGA. Jasny Panie, bo J. W. Pani tu niema. —

MAŻ. A gdzie?

SŁUGA. Odwieźli ją wczoraj...

MAŻ. Gdzie?

SŁUGA. Do domu waryatów (*ucieka z pokoju*).

MAŻ. Słuchaj, Maryo, może ty udajesz, skryłaś się gdzie, żeby mnie ukarać, ozwij się, proszę cię — Maryo — Marysiu! —

Nie — nikt nie odpowiada — Janie — Katarzyno! — Ten dom cały ogłuchł — oniemiał. —

Tę, której przysiągłem wierność i szczęście, sam strąciłem do rzędu potępionych już na tym świecie. — Wszystko, czegom się dotknął, zniszczyłem, i siebie samego zniszczę w końcu. — Czyż na to piekło mnie wypuściło, bym trochę dłużej był jego żywym obrazem na ziemi?

Na jakiejże poduszce ona dziś głowę położy? — Jakież dźwięki otoczą ją w nocy? Skowyczenia i śpiewy obłąkanych. — Widzę ją — czoło, na którym zawsze myśl spokojna, witająca — uprzejma — przezierała — pochylone trzyma — a myśl dobrą swoją posłała w nieznanne obszary, może za mną, i błąka się biedna i płacze. —

<sup>1)</sup> Germanizm, pow. b.: nie grzesz już.

GŁOS SKĄDSIŚ. Dramat układasz <sup>1)</sup>. —

MAŻ. Ha! — mój Szatan się odzywa. — (*bieży ku drzwiom, rozpycha podwoje*). Tataru mi osiodłać — płaszcz mój i pistolety! —

\* \* \*

*Dom obłąkanych w górzystej okolicy — ogród wokoło* <sup>2)</sup>. —

ŻONA DOKTORA (*z pękiem kluczków u drzwi*). Może Pan krewny Hrabiny? —

MAŻ. Jestem przyjacielem jej męża; on mnie tu przysłał. —

ŻONA DOKTORA. Proszę Pana — wiele sobie z niej obiecywać nie sposób — mój mąż wyjechał, byłby to lepiej wyluszczył — przywieźli ją zawczoraj — była w konwulsjach. — Jakie gorąco! — (*obciera twarz*). Mamy dużo chorych — żadnego jednak tak niebezpiecznie, jak ona. — Imainuj <sup>3)</sup> sobie Pan, ten instytut kosztuje nas ze dwakroć sto tysięcy. — Patrz Pan, jaki widok na góry — ale Pan, widzę, niecierpliwy — więc to nieprawda, że Jakóbiny <sup>4)</sup> jej męża porwali w nocy? — proszę Pana. —

\* \* \*

*Pokój — kratowane okno — kilka krzesel — łóżko — Żona na kanapie.* —

MAŻ (*wchodzi*). Chcę być z nią sam na sam. —

GŁOS Z ZA DRZWI. Mój mążby się gniewał, gdyby...

<sup>1)</sup> To głos samowiedzy okrutnej a przenikliwej; Henryk zdaje sobie sprawę, że cały jego poprzedni monolog to tylko okrągły frazes, poza, sceniczny gest rozpaczki, a nie szczery wylew uczucia.

<sup>2)</sup> W r. 1833, bawiąc w Wiedniu, poeta odwiedził dom obłąkanych w Döbling, skąd zaczerpnął szczegółów do następujących dwu scen.

<sup>3)</sup> t. j. wyobraź sobie, z franc. *s'imaginer*.

<sup>4)</sup> Jakobinami nazywano, od klasztoru św. Jakóba, gdzie się zgromadzali, członków klubu politycznego w Paryżu, w czasie wielkiej rewolucyi; z ich łona wyszli najkrwawszy rewolucyoniści. Wogóle zaś jakobinami zwano potem ludzi skrajnych przekonań społeczno-politycznych.



MAŻ. Dajże mi W. Pani pokój! — (*drzwi za sobą zamyka i idzie ku żonie*).

GŁOS Z NAD SUFITU. W łańcuchy spętaliście Boga. — Jeden już umarł na krzyżu — Ja drugi Bóg, i równie wśród katów. —

GŁOS Z POD PODŁOGI. Na rusztowanie głowy królów i panów — ode mnie poczyna się wolność ludu. —

GŁOS Z ZA PRAWEJ ŚCIANY. Klękajcie przed królem, panem waszym! —

GŁOS Z ZA LEWEJ ŚCIANY. Kometa na niebie już błyska — dzień straszego sądu się zbliża <sup>1)</sup>. —

MAŻ. Czy mnie poznajesz, Maryo? —

ŻONA. Przysięgłam ci na wierność do grobu. —

MAŻ. Chodź — daj mi ramię, wyjdziemy. —

ŻONA. Nie mogę się podnieść — dusza opuściła ciało moje, wstąpiła do głowy. —

MAŻ. Pozwól, wyniosę ciebie. —

ŻONA. Dozwól chwil kilka jeszcze, a stanę się godną ciebie. —

MAŻ. Jakto? —

ŻONA. Modliłam się trzy nocy <sup>2)</sup>, i Bóg mnie wysłuchał. —

MAŻ. Nie rozumiem cię. —

ŻONA. Odkiedym cię straciła, zaszła odmiana we mnie. — „Panie Boże“, mówiłam, i biłam się w piersi, i gromnicę przystawiałam do piersi, i pokutowałam, „spuść na mnie ducha poezyi“, i trzeciego dnia z rana stałam się poetą. —

MAŻ. Maryo! —

ŻONA. Henryku, mną teraz już nie pogardzisz — jestem pełna natchnienia — wieczorami już mnie nie będziesz porzucał. —

MAŻ. Nigdy, nigdy. —

ŻONA. Patrz na mnie. — Czy nie zrównałam się z tobą? — Wszystko pojmę, zrozumieć, wydam, wygram, wy-

<sup>1)</sup> Głosy waryatów to druga przepowiednia rewolucyi socyalnej, której obrazem jest druga połowa „Nieboskiej“.

<sup>2)</sup> Forma staropolska, zam.: noce.

śpiewam. — Morze, gwiazdy, burza, bitwa. — Tak, gwiazdy, burza, morze — ach! wymknęło mi się jeszcze coś — bitwa. — Musisz mnie zaprowadzić na bitwę — ujrzę i opiszę — trup, całun, krew, fala, rosa, trumna. —

Nieskończoność mnie obleje  
I, jak ptak, w nieskończoności  
Błękit skrzydłami rozwieję  
I, lecąc, się rozemdleję  
W czarnej nicości. —

MAŻ. Przeklęstwo — przeklęstwo! <sup>1)</sup> —

ŻONA (*obejmuje go ramionami i całuje w usta*). Henryku mój, Henryku, jakżem szczęśliwa! —

GŁOS Z POD POSADZKI. Trzech królów własną ręką zabiłem — dziesięciu jest jeszcze — i księży stu śpiewających mszę. —

GŁOS Z LEWEJ STRONY. Słońce trzecią część blasku straciło — gwiazdy zaczynają potykać się po drogach swoich — niestety — niestety. —

MAŻ. Dla mnie już nadszedł dzień sądu <sup>2)</sup>. —

ŻONA. Rozjaśnij czoło, bo smucisz mnie na nowo. — Czegóż ci nie dostaje? — Wiesz, powiem ci coś jeszcze.

MAŻ. Mów, a wszystkiego dopełnię.

ŻONA. Twój syn będzie poetą.

MAŻ. Co?

ŻONA. Na chrzcie ksiądz mu dał pierwsze imię — poeta — a następne znasz, Jerzy Stanisław. — Jam to sprawiła — błogosławiłam, dodałam przeklęstwo — on będzie poetą. — Ach, jakże cię kocham, Henryku!

GŁOS Z SUFITU. Daruj im, Ojcze, bo nie wiedzą, co czynią.

ŻONA. Tamten dziwne cierpi obłąkanie — nieprawdaz?

MAŻ. Najdziwniejsze.

<sup>1)</sup> Świadomość, że to, co dla niego było pozą, dla niej stało się szaleństwem, jest straszliwą karą i pomstą za egoizm estetyczny.

<sup>2)</sup> Zob. przyp. pierwszy na tej stronie, oraz przedmowę.

ŻONA. On nie wie, co gada, ale ja ci ogłoszę, coby było, gdyby Bóg oszalał (*bierze go za rękę*). Wszystkie światy lecą to na dół, to w górę — człowiek każdy, robak każdy krzyczy — „Ja Bogiem“ — i co chwila jeden po drugim konają — gasną komety i słońca. — Chrystus nas już nie zbawi — krzyż swój wziął w ręce obie i rzucił w otchłań. — Czy słyszysz, jak ten krzyż, nadzieja milionów, rozbija się o gwiazdy, łamie się, pęka, rozlatuje w kawałki, a coraz niżej i niżej — aż tuman wielki powstał z jego odłamków? — Najświętsza Bogarodzica jedna się modli i gwiazdy, jej służebnice, nie odbiegły Jej dotąd — ale i Ona pójdzie, kędy idzie świat cały <sup>1)</sup>. —

MAŻ. Maryo, może chcesz widzieć syna? —

ŻONA. Jam mu skrzydła przypięła, posłała między światy, by się napoił wszystkim, co piękne i straszne i wyniosłe. — On wróci kiedyś i uraduje ciebie. — Ach!

MAŻ. Żle tobie?

ŻONA. W głowie mi ktoś lampę zawiesił, i lampa się kołysze — nieznośnie. —

MAŻ. Maryo moja najdroższa, bądźże mi spokojna, jako dawniej byłaś!

ŻONA. Kto jest poetą, ten nie żyje długo <sup>2)</sup>.

MAŻ. Hej! ratunku — pomocy! — (*Wpadają kobiety i żona doktora*).

ŻONA DOKTORA. Pigulek — proszków! — Nie — nic zsiadłego — owszem, płynne jakie lekarstwo. — Małgosiu, bież do apteczki! — Pan sam temu przyczyną — mój mąż mnie wyłaje. —

ŻONA. Żegnam cię, Henryku. —

ŻONA DOKTORA. To J. W. Hrabia sam w osobie swojej! —

MAŻ. Maryo, Maryo! — (*ściska ją*).

<sup>1)</sup> Straszliwy, szaleńczy obraz chaosu w wizji Maryi dostraja się do proroczych głosów waryatów, jest trwożnych przeczuć o mającym nastąpić kataklizmie najpotężniejszym akordem.

<sup>2)</sup> Odpowiednik do przysłowia: umiłowani przez bogów umierają młodo.

ŻONA. Dobrze mi, bo umieram przy tobie. — (*spuszcza głowę*).

ŻONA DOKTORA. Jaka czerwona! — Krew rzuciła się do mózgu. —

MAŹ. Ale jej nic nie będzie? (*Wchodzi doktor i zbliża się do kanapy*).

DOKTÓR. Już jej nic niema — umarła. —

---

## CZĘŚĆ DRUGA.

Czemu, o dziecię, nie hasasz na kijku, nie bawisz się lalką, much nie mordujesz, nie wbijasz na pal motyli, nie tarzasz się po trawnikach, nie kradniesz łakoci, nie oblewasz łzami wszystkich liter od A do Z? — Królu much i motyli, przyjacielu poliszynela <sup>1)</sup>, czarcie maleńki, czemuś tak podobny do aniołka? — Co znaczą twoje błękitne oczy, pochylone, choć żywe, pełne wspomnień, choć ledwo kilka wiosen przeszło ci nad głową? — Skąd czoło opierasz na rączkach białych i zdajesz się marzyć, a jako kwiat obarczony rosą, tak skronia <sup>2)</sup> twoje obarczone myślami? —

\* \* \*

A kiedy się zarumienisz, płoniesz, jak stulistna róża, i, pukle odwijając w tył, wzroczkiem sięgasz do nieba — powiedz, co słyszysz, co widzisz, z kim rozmawiasz wtedy? — Bo na twe czoło występują zmarszczki, gdyby cieniutkie nici, płynące z niewidzialnego kłębka — bo w oczach

<sup>1)</sup> Zabawna postać w ludowej komedyi włoskiej; potem — wogóle pajac.

<sup>2)</sup> Rzadka forma; pospolicie — skronie.

twoich jaśniejse iskra, której nikt nie rozumie — a mamka twoja płacze i woła na ciebie i myśli, że jej nie kochasz — a znajomi i krewni wołają na ciebie i myślą, że ich nie poznajesz — twój ojciec jeden milczy i spogląda ponuro, aż łza mu się zakręci i znowu gdzieś przepadnie. —

\* \* \*

Lekarz wziął cię za puls, liczył bicia i ogłosił, że masz nerwy. — Ojciec chrzestny ciast ci przyniósł, poklepał po ramieniu i wróżył, że będziesz obywatelem pośród wielkiego narodu. — Profesor przystąpił i macał głowę twoją i wyrzekł, że masz zdatność do nauk ścisłych <sup>1)</sup>. — Ubogi, któremuś dał grosz, przechodząc, do czapki, obiecał ci piękną żonę na ziemi i koronę w niebie. — Wojskowy przyskoczył, porwał i podrzucił i krzyknął: „Będziesz pułkownikiem“. — Cyganka długo czytała dłoń twoją prawą i lewą, nic wyczytać nie mogła; jęcząc, odeszła, dukata wziąć nie chciała <sup>2)</sup>. — Magnetyzer palcami ci wionął w oczy, długimi palcami twarz ci okrążył — i przeląkł się, bo czuł, że sam zasypia. — Ksiądz gotował cię do pierwszej spowiedzi i chciał ukląć przed tobą, jak przed obrazkiem. — Malarz nadszedł, kiedyś się gniewał i tupał nóżkami; nakreślił z ciebie szatanka i posadził cię na obrazie dnia sądnego między wykłętymi duchami. —

\* \* \*

Tymczasem wzrastasz i piękniejesz — nie ową świeżością dzieciństwa mleczną i poziomkową, ale pięknością dziwnych, niepojętych myśli, które chyba z innego świata płyną ku tobie — bo choć często oczy masz gasnące, śniade lica, zgięte piersi, każdy, co spojrzy na ciebie, zatrzyma się i powie: „Jakie śliczne dziecko!“ — Gdyby kwiat, co

<sup>1)</sup> Zgodnie z rozpowszechnionem wówczas mniemaniem o możliwości odgadnięcia cech duchowych człowieka z kształtów czaszki; naukę tę zwano kраниologią.

<sup>2)</sup> Bo na dłoni dziecka smutną wyczytała przyszłość.

więdnie, miał duszę z ognia i natchnienie z nieba, gdyby na każdym listku, chyłącym się ku ziemi, anielska myśl leżała miasto kropli rosy, ten kwiat byłby do ciebie podobnym, o dziecię moje — może takie bywały przed upadkiem Adama <sup>1)</sup>. —

\* \* \*

*Cmentarz — Mąż i Orcio przy grobie w gotyckie filary i wieżyczki <sup>2)</sup>.*

MAŻ. Zdejm kapelusik i módl się za duszę matki. —

ORCIO. Zdrowaś Panno Maryo, łaskiś Bożej pełna, Królowa niebios, Pani wszystkiego, co kwitnie na ziemi, po polach, nad strumieniami...

MAŻ. Czego odmieniasz słowa modlitwy? — Módl się, jak cię nauczono, za matkę, która temu dziesięć lat własnie o tej samej godzinie skoła. —

ORCIO. Zdrowaś Panno Maryo, łaski Bożej pełna, Pan z tobą, błogosławionaś między Aniołami, i każdy z nich, kiedy przechodzisz, tęczę jedną z skrzydeł swych wydziera i rzuca pod stopy Twoje. — Ty na nich, jak gdyby na falach...

MAŻ. Orcio! —

ORCIO. Kiedy mi te słowa się nawijają i bolą w głowie tak, że, proszę Papy, muszę je powiedzieć <sup>3)</sup>. —

MAŻ. Wstań, taka modlitwa nie idzie do Boga. — Matki nie pamiętasz — nie możesz jej kochać. —

ORCIO. Widuję bardzo często Mamę. —

MAŻ. Gdzie, mój maleńki? —

ORCIO. We śnie, to jest nie zupełnie we śnie, ale tak, kiedy zasypiam, naprzykład zawczoraj. —

MAŻ. Dziecko moje, co ty gadasz?

<sup>1)</sup> Poeta kreśli tu, do pewnego stopnia, swój własny portret z czasów dzieciństwa.

<sup>2)</sup> I w tej scenie zawierają się wspomnienia dzieciństwa: Henryk i Orcio przypominają tu generała Wincentego i Zygmunta na grobie matki w Opinogórze.

<sup>3)</sup> Osobiste wrażenia poety, doznawane podczas choroby oczu, której ulegał od wczesnej młodości.

ORCIO. Była bardzo biała i wychudła. —

MAŻ. A mówiła co do ciebie?

ORCIO. Zdawało mi się, że się przechadza po wielkiej i szerokiej ciemności, sama bardzo biała, i mówiła:

Ja błąkam się wszędzie,  
Ja wszędzie się wdzieram,  
Gdzie światów krawędzie,  
Gdzie aniołów pienie,  
I dla ciebie zbieram  
Kształtów roje,  
O dziecię moje!  
Myśli i natchnienie.

I od duchów wyższych  
I od duchów niższych  
Farby i odcienie,  
Dźwięki i promienie  
Zbieram dla ciebie,  
Byś ty, o synku mój!  
Był, jako są w niebie,  
I ojciec twój  
Kochał ciebie —

Widzi Ojciec, że pamiętam słowo w słowo — proszę kochanego Papy, ja nie kłamię. —

MAŻ (*opierając się o filar grobu*). Maryo, czyż dziecię własne chcesz zgubić, mnie dwoma zgonami obarczyć?... Co ja mówię? — ona gdzieś w niebie, cicha i spokojna, jak za życia na ziemi — marzy się tylko temu biednemu chłopięciu <sup>1)</sup>. —

ORCIO. I teraz słyszę głos jej, lecz nic nie widzę. —

MAŻ. Skąd — w której stronie? —

ORCIO. Jak gdyby od tych dwóch modrzewi, na które pada światło zachodzącego słońca. —

Ja napoję  
Usta twoje  
Dźwiękiem i potęgą;  
Czoło przyozdobię  
Jasności wstęgą,

<sup>1)</sup> Henryk, dotknięty już szaleństwem żony, teraz ma ponieść sroższą jeszcze karę: na ukochanem dziecku, które wzięło w puściźnie po nim obłąd poetyczny.



I matki miłością  
 Obudzę w tobie  
 Wszystko, co ludzie na ziemi, anieli w niebie  
 Nazwali pięknością —  
 By ojciec twój,  
 O synku mój!  
 Kochał ciebie. —

MAŻ. Czyż myśli ostatnie przy zgonie towarzyszą duszy, choć dostanie się do nieba — może być duch szczęśliwym, świętym i obłąkanym zarazem? —

ORCIO. Głos Mamy słabiej, ginie już prawie za murem kościnicy <sup>1)</sup>, ot tam — tam — jeszcze powtarza —

O synku mój!  
 By ojciec twój  
 Kochał ciebie. —

MAŻ. Boże, zmiłuj się nad dzieckiem naszym, którego, zda się, że w gniewie Twoim przeznaczyłeś szaleństwu i zawczesnej śmierci. — Panie, nie wydieraj rozumu własnym stworzeniom, nie opuszczaj świątyń, któreś sam wybudował sobie — spojrzuj na męki moje i aniołka tego nie wydawaj piekłu. — Mnieś przynajmniej obdarzył siłą na wytrzymanie natłoku myśli, namiętności i uczuć, a jemu? — dałeś ciało do pajęczyny podobne, które łaďa myśl wielka rozerwie — o Panie Boże — o Boże! <sup>2)</sup> —

Od lat dziesięciu dnia spokojnego nie miałem — nadsłałeś wielu ludzi na mnie, którzy mi szczęścia wieszowali, zazdrościli, życzyli — spuściłeś na mnie grad boleści i znikomych obrazów, i przecuciów <sup>3)</sup>, i marzeń — łaska Twoja na rozum spadła, nie na serce moje — dozwól mi dziecię ukochać w pokoju, i niechaj stanie mir <sup>4)</sup> już między Stwórcą i stworzonym. — Synu, przeżegnaj się i chodź ze mną. Wieczny odpoczynek. — (*Wychodzą*).

\* \* \*

<sup>1)</sup> Kostnica — cmentarz.

<sup>2)</sup> Tym razem nie odzywa się Głos skądś, bo Henryk nie gra przed sobą samym dramatu, lecz naprawdę, szczerze cierpi.

<sup>3)</sup> Forma nieprawidłowa, i w dawnej polszczyźnie pospolita

<sup>4)</sup> Mir — pokój (starop.).

*Spacer — Damy i Kawalerowie — Filozof — Mąż.*

FILOZOF. Powtarzam, iż to jest nieodbitą, samowolną<sup>1)</sup> wiarą we mnie, że czas nadchodzi wyzwolenia kobiet i murzynów<sup>2)</sup>. —

MAŻ. Pan masz rację.

FILOZOF. I wielkiej do tego odmiany w towarzystwie ludzkim w szczególności i w ogólności — z czego wywodzę odrodzenie się rodu ludzkiego przez krew i zniszczenie form starych. —

MAŻ. Tak się Panu wydaje? —

FILOZOF. Podobnie jako glob nasz się prostuje lub pochyla na osi swojej przez nagłe rewolucye<sup>3)</sup>. —

MAŻ. Czy widzisz to drzewo spróchniałe? —

FILOZOF. Z młodymi listkami na dolnych gałązkach.

MAŻ. Dobrze. — Jak sądzisz — wiele lat jeszcze stać może?

FILOZOF. Czy ja wiem? — Rok — dwa lata. —

MAŻ. A jednak dzisiaj wypuściło z siebie kilka listków świeżych, choć korzenie gniją coraz bardziej. —

FILOZOF. Cóż z tego?

MAŻ. Nic — tylko, że gruchnie i pójdzie precz na węgle i popiół, bo nawet stolarzowi nie zda się na nic. —

FILOZOF. Przecie nie o tem mowa. —

MAŻ. Jednak to obraz twój i wszystkich twoich, i wieku twego, i teoryi twojej. — *(przechodzą)*.

<sup>1)</sup> T. j. nieprzymuszona.

<sup>2)</sup> W r. 1833, t. j. w chwili pisania „Nie-Boskiej”, w parlamencie angielskim przeszedł bill o zniesieniu handlu niewolnikami; inne rządy przyjęły tę reformę znacznie później.

<sup>3)</sup> Puste przelewanie słów Filozofa, przypominające nieco nauki s. simonistów, w przededniu rewolucyi jest obrazem czczości duchowej i zwyrodnienia tego pokolenia, które ma zginąć w odmgiecie wraz z tymi nawet, co o przyszłej rewolucyi z zimnem a lekkim sercem rozprawiali.

*Wąwóz pomiędzy górami.*

MAŻ. Pracowałem lat wiele na odkrycie ostatniego końca wszelkich wiadomości, rozkoszy i myśli, i odkryłem — próżnię grobową w sercu mojem. — Znam wszystkie uczucia po imieniu, a żadnej żądy, żadnej wiary, miłości niema we mnie — jedno kilka przecuciów krąży w tej pustyni — o synu moim, że oślepnie — o towarzystwie, w którym wzrosłem, że rozprzęgnie się — i cierpię tak, jak Bóg jest szczęśliwy, sam w sobie, sam dla siebie <sup>1)</sup>. —

GŁOS ANIOŁA STRÓŻA. / Schorzałych, zgłodniałych, rozpaczających pokochaj, bliźnich twoich, biednych bliźnich twoich, a zbawion będziesz <sup>2)</sup>. /

MAŻ. Kto się odzywa? —

MEFISTO <sup>3)</sup> (*przechodząc*). Kłaniam uniżenie — lubię czasem zastanawiać podróźnych darem, który natura osadziła we mnie. — Jestem brzuchomówca. —

MAŻ (*podnosząc rękę do kapelusza*). Na kopersztychu <sup>4)</sup> podobną twarz gdzie widziałem. —

MEFISTO (*na stronie*). Hrabia ma dobrą pamięć. — (*głośno*) Niech będzie pochwalon —

MAŻ. Na wieki wieków — amen. —

MEFISTO (*wchodząc pomiędzy skały*). Ty i głupstwo twoje. —

MAŻ. Biedne dziecię, dla win ojca, dla szału matki przeznaczone wiecznej ślepcie — niedopełnione, bez namiętności, żyjące tylko marzeniem, cień przelatującego anioła, rzucony na ziemię i błędzący w znikomości swojej. —

<sup>1)</sup> Ten i dalsze monologi Henryka aż do końca tej części jest obrazem długich, samotnych rozmyślań poety, który w czasie choroby oczu dnie całe spędzał w ciemnym pokoju.

<sup>2)</sup> Hrabia Henryk, jako przedstawiciel upadającego świata, jest przeżyty, w nic nie wierzy, nic nie pragnie; przytem przejścia rodzinne złamały jego duszę; i dlatego nie idzie za głosem Anioła Stróża, który nawołuje go teraz do „dobrej woli” i miłości w stosunkach społecznych, jak w początkach I cz. — w stosunkach rodzinnych, i — również napróżno.

<sup>3)</sup> Imię szatana w „Fauście” Goethego.

<sup>4)</sup> Kopersztych — miedzioryt.

Jakiż ogromny orzeł wzbił się nad miejscem, w którym ten człowiek zniknął! —

ORZEŁ. Witam cię — witam. —

MAŻ. Leci ku mnie, cały czarny — świst jego skrzydeł, jako świst tysiąca kul w boju. —

ORZEŁ. Szablą ojców twoich bij się o ich cześć i potęgę. —

MAŻ. Roztoczył się nade mną — wzrokiem węża grzechotnika ssie mi źrzenice — ha! rozumiem ciebie. —

ORZEŁ. Nie ustępuj, nie ustąp nigdy — a wrogi twe, podłe wrogi twe pójdą w pył<sup>1)</sup>. —

MAŻ. Żegnam cię wśród skał, pomiędzy którymi znikasz — bądź co bądź, fałsz czy prawda, zwycięstwo czy zaguba, uwierzę tobie, posłanniku chwały. — Przeszłości, bądź mi ku pomocy — a jeśli duch twój wrócił do łona Boga, niechaj się znów oderwie, wstąpi we mnie, stanie się myślą, siłą i czynem. — (*zrzuca żmiję*)

Idź, podły gadzie — jako strąciłem ciebie i niema żalu po tobie w naturze, tak oni wszyscy stoczą się w dół i po nich żalu nie będzie — sławy nie zostanie — żadna chmura się nie odwróci w żegludze, by spojrzeć za sobą na tyłu synów ziemi, ginących pospołu. —

— Oni naprzód — ja potem<sup>2)</sup>. —

Błękiecie niezmierny, ty ziemię obwijasz — ziemia niemowlęciem, co zgrzyta i płacze — ale ty nie drżysz, nie słuchasz jej, ty płyniesz w nieskończoność swoją. —

Matko naturo, bądź mi zdrowa — idę się na człowieka przetworzyć<sup>3)</sup>, walczyć idę z bracią moją. —

\* \* \*

*Pokój — Mąż — Lekarz — Orcio.*

MAŻ. Nic mu nie pomogli — w Panu ostatnia nadzieja. —

<sup>1)</sup> Orzeł jest tu symbolem chwały wojennej; por. chór Złych Duchów na str. 24.

<sup>2)</sup> Henryk ma wyraźne przeczucie beznadziejności walki, którą podejmuje, wie, że zginie, jak ów „podły gad“, a z nim świat stary, niezdolny już do życia; położenie jego jest wysoce tragiczne.

<sup>3)</sup> To znaczy, że naturze obcy jest pierwiastek walki i nienawiści.

LEKARZ. Bardzo mi zaszczytnie...

MAŻ. Mów Panu, co czujesz. —

ORCIO. Już nie mogę ciebie, Ojczy, i tego pana rozpoznać — iskry i nicie <sup>1)</sup> czarne latają przed moimi oczyma, czasem z nich wydobędzie się nakształt cieniutkiego węża — i nuż robi się chmura żółta — ta chmura w górę podleci, spadnie na dół, pryśnie z niej tęcza — i to nic mnie nie boli <sup>2)</sup>. —

LEKARZ. Stań, Panie Jerzy, w cieniu — wiele Pan lat masz? — (*patrzy mu w oczy*).

MAŻ. Skończył czternaście. —

LEKARZ. Teraz odwróć się do okna. —

MAŻ. A cóż? —

LEKARZ. Powieki prześliczne, białka przeczyste, żyły wszystkie w porządku, muszkuły w sile. — (*do Orcia*). Śmiej się Pan z tego — Pan będziesz zdrow, jak ja. — (*do Męża*). Niema nadziei — sam Pan Hrabia przypatrz się źrzenicy — nieczuła na światło — osłabienie zupełne nerwu optycznego <sup>3)</sup>. —

ORCIO. Mgłą zachodzi mi wszystko — wszystko. —

MAŻ. Prawda — rozwarta — szara — bez życia. —

ORCIO. Kiedy spuszczę powieki, więcej widzę, niż z otwartymi oczyma <sup>2)</sup>. —

LEKARZ. Myśl w nim ciało przepesuła — należy się bać katalepsyi <sup>4)</sup>. —

MAŻ (*odprowadzając Lekarza na stronę*). Wszystko, co zażadasz — pół mojego majątku. —

LEKARZ. Dezorganizacya nie może się zreorganizować <sup>5)</sup> — (*bierze kij i kapelusz*)

Najniższy sługa Pana Hrabiego, muszę jechać zdjąć jednej pani kataraktę. —

MAŻ. Zmiłuj się — nie opuszczaj nas jeszcze. —

1) Forma nieprawidłowa, pow. b.: nici.

2) Poeta sam doznawał podobnych objawów w czasie choroby.

3) T. j. nerwu ocznego.

4) Stan utraty świadomości i odretwienia.

5) T. j. rozstrojonego organizmu nie można już przywrócić do stanu normalnego.

LEKARZ. Może Pan ciekawy nazwiska tej choroby? —

MAŻ. I żadnej, żadnej niema nadziei? —

LEKARZ. Zowie się po grecku: amaurosis <sup>1)</sup>. (*wychodzi*).

MAŻ (*przyciskając syna do piersi*). Ale ty widzisz jeszcze cokolwiek? —

ORCIO. Słyszę głos twój, Ojczy. —

MAŻ. Spójrz w okno, tam słońce, pogoda. —

ORCIO. Pełno postaci mi się wije między źrzenicą a powieką — widzę twarze widziane, znajome miejsca — karty książek czytanych <sup>2)</sup>. —

MAŻ. To widzisz jeszcze? —

ORCIO. Tak, oczyma duszy, lecz tamte pogasły. —

MAŻ (*padając na kolana*).

(*Chwila milczenia*).

Przed kim ukląknę — gdzie mam się upomnieć o krzywdę mojego dziecka? — (*wstając*) Milczmy raczej — Bóg się z modlitw, szatan z przekleństw śmieje <sup>3)</sup>. —

GŁOS SKĄDSIŚ. Twój syn poetą — czegoż żądasz więcej?

\* \* \*

*Lekarz — Ojciec Chrzestny.*

OJCIEC CHRZESTNY. Zapewne, to wielkie nieszczęście być ślepym. —

LEKARZ. I bardzo nadzwyczajne w tak młodym wieku.

OJCIEC CHRZESTNY. Był zawsze słabej kompleksyi, i matka jego umarła nieco... tak...

LEKARZ. Jakto?

OJCIEC CHRZESTNY. Poniekąd tak — WaćPan rozumiesz? — bez piątej klepki. —

(*Mąż wychodzi*).

<sup>1)</sup> Czarna katarakta.

<sup>2)</sup> Zob. przyp. na str. 43.

<sup>3)</sup> Najsilniejszy to wyraz rozterki duchowej Henryka: rozpacz. spowodowana ślepotą syna, doprowadza go do bluźnierstwa.

MAŻ. Przepraszam Pana, zem go prosił o tak późnej godzinie, ale od kilku dni mój biedny syn budzi się zawsze około dwunastej, wstaje i przez sen mówi — proszę za mną. —

LEKARZ. Chodźmy. — Jestem bardzo ciekawy owego fenomenu. —

\* \* \*

*Pokój sypialny — Służąca — Krewni — Ojciec Chrzestny —  
Lekarz — Maż. —*

KREWNY. Cicho. —

DRUGI. Obudził się, a nas nie słyszy. —

LEKARZ. Proszę Panów nic nie mówić. —

OJCIEC CHRZESTNY. To rzecz arcy dziwna. —

ORCIO (*wstając*). O Boże — Boże! —

KREWNY. Jak powoli stąpa! —

DRUGI. Jak trzyma ręce założone na piersiach. —

TRZECI. Nie mrugnie powieką — ledwo, że usta roztwiera, a przecię głos ostry, przeciągły z nich się dobywa <sup>1)</sup>. —

SŁUŻĄCY. Jezusie Nazareński! —

ORCIO. Precz ode mnie, ciemności — jam się urodził synem światła i pieśni — Co chcecie <sup>2)</sup> ode mnie? — czego żądacie ode mnie? —

Nie poddam się wam, choć wzrok mój uleciał z wiatrami i goni gdzieś po przestrzeniach — ale on wróci kiedyś, bogaty w promienie gwiazd, i oczy moje rozogni płomieniem <sup>3)</sup>. —

OJCIEC CHRZESTNY. Tak, jak nieboszczka, plecie, sam nie wie co — to widok bardzo zastanawiający. —

LEKARZ. Zgadzam się z Panem Dobrodziejem. —

MAMKA. Najświętsza Panno Częstochowska, weź mi oczy i daj jemu. —

<sup>1)</sup> Scena ta przypomina nieco słynną scenę I aktu V „Makbeta”, w której lady Makbet również w śnie lunatycznym przemawia nieprzytomnie w obecności lekarza.

<sup>2)</sup> Pow. b.: czego chcecie...

<sup>3)</sup> Echa rozmyślań i wrażeń poety podczas choroby ocznej.

ORCIO. Matko moja, proszę cię — matko moja, naślój mi teraz obrazów i myśli, bym żył wewnątrz, bym stworzył drugi świat w sobie, równy temu, jaki postradałem<sup>1)</sup>. —

KREWNY. Co myślisz, bracie, to wymaga rady familijnej? —

DRUGI. Czekaj — cicho. —

ORCIO. Nie odpowiadasz mi — o matko! nie opuszczaj mnie! —

LEKARZ (*do Męża*). Obowiązkiem moim jest prawdę mówić. —

OJCIEC CHRZESTNY. Tak jest — to jest obowiązkiem — i zaletą lekarzy — Panie Konsyliarzu. —

LEKARZ. Pański syn ma pomieszanie zmysłów, połączone z nadzwyczajną drażliwością nerwów, co niekiedy sprawia, że tak powiem, stan snu i jawu zarazem, stan podobny do tego, który oczywiście tu napotykamy. —

MAŻ (*na stronie*). Boże, patrz, on Twoje sądy mi tłómaczy. —

LEKARZ. Chciałbym pióra i kałamarza — Cerasi laurei<sup>2)</sup>: dwa grana, etc. etc. . . .

MAŻ. W tamtym pokoju Pan znajdziesz — proszę wszystkich, by wyszli. —

GŁOSY POMIESZANE. Dobranoc — dobranoc — do jutra — (*wychodzą*).

ORCIO (*budząc się*). Dobrej nocy mi życzą — mówcie o długiej nocy — o wiecznej może — ale nie o dobrej, nie o szczęśliwej.

MAŻ. Wesprzyj się na mnie, odprowadzę cię do łóżka. —

ORCIO. Ojczy, co to ma się znaczyć? —

MAŻ. Okryj się dobrze i zaśnij spokojnie, bo doktor mówi, że wzrok odzyskasz. —

ORCIO. Tak mi niedobrze — sen mi przerwały głosy czyjeś. — (*zasypia*).

MAŻ. Niech moje błogosławieństwo spoczywa na tobie — nic ci więcej dać nie mogę, ni szczęścia, ni światła,

<sup>1)</sup> Zygmunt, podobnie jak i Orcio, stracił matkę w dzieciństwie.

<sup>2)</sup> Krople laurowe, na uspokojenie nerwów.



ni sławy — a dobija godzina, w której będę musiał walczyć, działać z kilkoma ludźmi przeciwko wielu ludziom. — Gdzie się ty podziejesz, sam jeden i wśród stu przepaści, ślepy, bezsilny, dziecię i poeto zarazem, biedny śpiewaku bez słuchaczy, żyjący duszą za obrębem ziemi, a ciałem przykuty do ziemi — o ty nieszczęśliwy, najnieszczęśliwszy z aniołów, o ty mój synu? —

MAMKA (*u drzwi*). Pan Konsyliarz każe J. W. Pana prosić. —

MAŻ. Dobra moja Katarzyno, zostań się przy matym. — (*wychodzi*).

## CZĘŚĆ TRZECIA.

---

Do pieśni — do pieśni!

Kto ją zacznie, kto jej dokończy? — Dajcie mi przeszłość, zbrojną w stal, powiewną rycerskimi pióry. — Gotyckie wieże wywołam przed oczy wasze — rzucę cień katedr świętych na głowy wam. — Ale to nie to — tego już nigdy nie będzie <sup>1)</sup>. —

\*

\*

Ktokolwiek jesteś, powiedz mi, w co wierzysz — ła-  
twiej, byś życia się pozbył, niż wiarę jaką wynalazł, wzbu-  
dził wiarę w sobie. Wstyďte się, wstyďte wszyscy, mali i wielcy — a mimo was, mimo żeście mierni i nędzni, bez serca i mózgu, świat dąży ku swoim celom, rwie za sobą <sup>2)</sup>, pędzi przed się, bawi się z wami, przerzuca, odrzuca — walcem świat się toczy, pary znikają i powstają, wnet zapadają, bo ślizko — bo krwi dużo — krew wszędzie — krwi dużo, powiadam wam. —

\*

\*

\*

<sup>1)</sup> Wspomnienie rycerskiego średniowiecza, z którym zapoznał się poeta za pośrednictwem romansów Walter-Scotta; por. powiastki Krasińskiego, jak „Grób rodziny Reichsthalów” i inne

<sup>2)</sup> Rwać w znaczeniu: porywać

Czy widzisz owe tłumy, stojące u bram miast wśród wzgórzów <sup>1)</sup> i sadzonych topoli — namioty rozbite — zastawione deski, długie, pokryte mięsiwem i napojami, podparte pniami, drągami? — Kubek lata z rąk do rąk — a gdzie się ust dotknie, tam głos się wydobędzie, groźba, przysięga, lub przekleństwo. — On lata, zawraca, krąży, tańczy, zawsze pełny, brzęcząc, błyszcząc, wśród tysięcy. — Niechaj żyje kielich pijaństwa i pociechy!

\* \* \*

Czy widzicie, jak oni czekają niecierpliwie — szemrzą między sobą, do wrzasków się gotują — wszyscy nędzni, ze znojem na czole, z rozczuchranymi włosy, w łachmanach, z spiekłemi twarzami, z dłońmi pomarszczonemi od trudu — ci trzymają kosy, owi potrząsają młotami, heblami — patrz — ten wysoki trzyma topór spuszczonej — a tamten stemplem <sup>2)</sup> żelaznym nad głową powija; dalej, w bok pod wierzbą, chłopię małe wisznię <sup>3)</sup> do ust kładzie, a długie szydło w prawej ręce ściska. — Kobiety przybyły także, ich matki, ich żony, głodne i biedne, jak oni, zwiędłe przed czasem, bez śladów piękności — na ich włosach kurzawa bitej drogi — na ich łonach poszarpane odzieże — w ich oczach coś gasnącego, ponurego, gdyby przedrzeźnianie wzroku — ale wnet się ożywią — kubek lata wszędzie, obiega wszędzie. — Niech żyje kielich pijaństwa i pociechy! —

\* \* \*

Teraz szum wielki powstał w zgromadzeniu — czy to radość czy rozpacz? — Kto rozpozna jakie uczucie w głosach tysięcy? — Ten, który nadszedł <sup>4)</sup>, wstąpił na stół, wskoczył na krzesło i panuje nad nimi, mówi do nich. —

<sup>1)</sup> Pow. być: wzgórz.

<sup>2)</sup> Tu wogóle w znaczeniu: drąg żelazny.

<sup>3)</sup> Prowincjonalizm, zam.: wiśnię.

<sup>4)</sup> Pankracy, wódz demokratów. Pankracy po grecku oznacza Wszzechmocny. Krasieńskiemu jednak chodziło tylko o imię gminne, nie zaś o zawarty w nim symbol.

Głos jego przeciągły, ostry, wyraźny — każde słowo rozeznasz, zrozumiesz — ruchy jego powolne, łatwe, wtórują słowom, jak muzyka pieśni — czoło wysokie, przestronne, włosy jednego na czaszce niemasz, wszystkie wypadły, stracone myślami — skóra przyschła do czaszki, do liców, żółtawo się wcina pomiędzy koście <sup>1)</sup> i muszkuły — a od skroni broda czarna wieńcem twarz opasuje — nigdy krwi, nigdy zmiennej barwy na licach — oczy niewzruszone, wlepione w słuchaczy — chwili jednej zwątpienia, pomieszanania nie dojrzeć; a kiedy ramię wzniesie, wyciągnie, wyteży ponad nimi, schylają głowy, zda się, że wnet uklękną przed tem błogosławieństwem wielkiego rozumu — nie serca — precz z sercem, z przesądami, a niech żyje słowo pociechy i mordu! —

\* \* \*

To ich wściekłość, ich kochanie, to władca ich dusz i zapalu — on obiecuje im chleb i zarobek. — Krzyki się wzbily, rozciągnęły, pękły po wszystkich stronach — „Niech żyje Pankracy! — chleba nam, chleba, chleba!“ — A u stóp mówcy opiera się na stole przyjaciel, czy towarzysz, czy sługa. —

\* \* \*

Oko wschodnie, czarne, cieniowane, długimi rzęsy <sup>2)</sup> — ramiona obwisłe, nogi uginające się, ciało niedcześnie w bok schylone — na ustach coś lubieżnego, coś złośliwego, na palcach złote pierścienie — i on także głosem chrapliwym woła — „Niech żyje Pankracy“. — Mówca ku niemu na chwilę wzrok obrócił. — „Obywatelu <sup>3)</sup> przechrzto, podaj mi chustkę“. —

\* \* \*

<sup>1)</sup> Pow. b.: kości

<sup>2)</sup> Pow. b.: rzęsami.

<sup>3)</sup> Sposób przemawiania, przyjęty przez Francuzów w czasie Wielkiej Rewolucyi, kiedy ci to y e n zastąpił arystokratycznego m o n s i e u r.

Tymczasem trwają poklaski i wrzaski. — „Chleba nam, chleba, chleba! — Śmierć panom, śmierć kupcom — chleba, chleba!“ —

*Wymyk - myślenie obozu chrześcijaństwa*  
Szataś—lamp kilka—księga roztwarta na stole—przechrzty—

PRZECHRZTA. Bracia moi podli, bracia moi mściwi, bracia kochani, ssajmy karty Talmudu<sup>1)</sup>, jako pierś mleczną, pierś żywotną, z której siła i miód płynie dla nas, dla nich gorycz i trucizna. —

CHÓR PRZECHRZTÓW.<sup>2)</sup> Jehowa Pan nasz, a nikt inny.—On nas porozrzucił wszędzie, On nami, gdyby splotami niezmiernej gadziny, oplótł świat czcicielów Krzyża, panów naszych, dumnych, głupich, niepiśmiennych. — Po trzykroć pluńmy na zgubę im — po trzykroć przekłństwo im! —

PRZECHRZTA. Cieszmy się, bracia moi — Krzyż, wróg nasz, podcięty, zbutwiały, stoi dziś nad kałużą krwi, a jak raz się powali, nie powstanie więcej<sup>3)</sup>. — Dotąd pan-y go bronią. —

CHÓR. Dopełnia się praca wieków, praca nasza mar-kotna, boleśna, zawzięta. — Śmierć panom! — po trzykroć pluńmy na zgubę im — po trzykroć przekłństwo im! —

PRZECHRZTA. Na wolności bez ładu, na rzezi bez końca, na zatargach i złościach, na ich głupstwie i dumie osadźmy potęgę Izraela — tylko tych panów kilku — tych kilku jeszcze zepchnąć w dół — trupy ich przysypać roz-walinami Krzyża. —

CHÓR. Krzyż znamię święte nasze — woda chrztu po-łączyła nas z ludźmi — uwierzyli pogardzający miłości po-gardzonych. —

<sup>1)</sup> Tytuł zbiorowego dzieła teologów hebrajskich, które powsta-wało wiekami i zawiera zasady religii, moralności i prawa; tchnie nie-nawiścią do ludzi innych wyznań i fanatyzmem.

<sup>2)</sup> W „Nie-Boskiej“ występują tylko przechrzci, przypuszczał Krasieński, że w tej epoce wszyscy Żydzi przyjmą, chociaż formalnie, chrystyanizm.

<sup>3)</sup> Pow. b.: nie powstanie już (germanizm).

Wolność ludzi prawo nasze — dobro ludu cel nasz — uwierzyli synowie chrześcijan w synów Kaifasza. — Przed wiekami wroga <sup>1)</sup> umęczyli ojcowie nasi — my go na nowo dziś umęcym, i nie zmartwychwstanie więcej <sup>2)</sup>. —

PRZECHRZTA. Chwil kilka jeszcze, jadu żmii kropel kilka jeszcze — a świat nasz, nasz, o bracia moi! —

CHÓR. Jehowa Pan Izraela, a nikt inny. — Po trzykroć pluśmy na zgubę ludom — po trzykroć przekłństwo im! —

(*Słychać stukanie*).

PRZECHRZTA. Do roboty waszej — a ty, święta księgo, precz stąd, by wzrok przekłętego <sup>3)</sup> nie zbrudził kart twoich. — (*Talmud chowa*).

Kto tam?

GŁOS Z ZA DRZWI. Swój. — W imieniu wolności, otwieraj. —

PRZECHRZTA. Bracia, do młotów i powrozów! — (*otwiera*).

LEONARD (*wchodząc*). Dobrze, obywatele, że czuwacie i ostrzycie puginały na jutro. — (*do jednego z nich przystępuje*).

A ty co robisz w tym kącie? —

JEDEN Z PRZECHRZTÓW. Stryczki, obywatelu. —

LEONARD. Masz rozum, bracie — kto od żelaza nie padnie w boju, ten na gałęzi skona. —

PRZECHRZTA. Miły obywatelu Leonardzie, czy sprawa pewna na jutro? —

LEONARD. Ten, który myśli i czuje najpotężniej z nas wszystkich <sup>4)</sup>, wzywa cię na rozmowę przeze mnie. — On ci sam na to pytanie odpowie. —

PRZECHRZTA. Idę — a wy nie ustawajcie w pracy — Jankielu, pilnuj ich dobrze. — (*wychodzi z Leonardem*. <sup>5)</sup>)

<sup>1)</sup> T. j. Jezusa Chrystusa.

<sup>2)</sup> Zob. uwagę 3 na str. 57.

<sup>3)</sup> Chryścijanina, t. j. Leonarda, który właśnie wchodzi.

<sup>4)</sup> T. j. Pankracy.

<sup>5)</sup> Trójca wodzów obozu demokratycznego: Pankracy, Leonard i Przechrzta, przypomina trzech przywódców saint-simonizmu: Bazar-  
da, Enfantina i Żyda Rodriguesa.

CHÓR PRZECHRZTÓW. Powrozy i sztylety, kije i pałasze, rąk naszych dzieło, wyjdziecie na zatrąę im — oni panów zabiją po błoniach — rozwieszają po ogrodach i borach — a my ich potem zabijem, powiesim. — Pogardzeni wstaną w gniewie swoim, w chwałę Jehowy się ustroją; słowo Jego zbawienie, miłość jego dla nas zniszczeniem dla wszystkich. — Pluńmy po trzykroć na zgubę im, po trzykroć przekłństwo im! —

\* \* \*

*Namiot — porozrzućane butelki, kielichy.*

PANKRACY. Pięćdziesięciu hulalo tu przed chwilą i za każdym słowem mojem krzyczało — „Wiwat” — czy choć jeden zrozumiał myśli moje? — pojął koniec drogi, u której początku hałasuje? — ach! *servile imitatorum pecus* <sup>1)</sup>.

*(wchodzi Leonard i przechrzta)*

Czy znasz Hrabiego Henryka?

PRZECHRZTA. Wielki obywatelu, z widzenia raczej, niż z rozmowy — raz tylko, pamiętam, przechodząc na Boże Ciało, krzyknął mi: „Ustąp się” — i spojrzał na mnie wzrokiem pana — za co mu ślubowałem stryczek w duszy mojej. —

PANKRACY. Jutro jak najraniej wybierzesz się do niego i oświadczysz, że chcę się z nim widzieć osobiście. potajemnie, pojutrze w nocy. —

PRZECHRZTA. Wiele mi dasz ludzi? Bo nieostroźnie byłoby się puszczać samemu. —

PANKRACY. Puścisz się sam, moje imię strażą twoją — szubienica, na której powiesiliście barona zawczoraj, plecami twemi. —

PRZECHRZTA. Aj waj!

PANKRACY. Powiesz, że przyjdę do niego o dwunastej w nocy, pojutrze. —

<sup>1)</sup> Służalcze stado naśladowców” (Horacy). Ten krótki monolog odkrywa nam głębię duszy Pankracego, który, podobnie jak i Henryk, przestał wierzyć w słuszność sprawy, za którą walczył.

PRZECHRZTA. A jak mnie każe zamknąć lub obije?—

PANKRACY. To będziesz męczennikiem za wolność ludu. —

PRZECHRZTA. Wszystko, wszystko za wolność ludu. — *(na stronie)* Aj waj! —

PANKRACY. Dobranoc, obywatelu. —

*(Przechrzta wychodzi).*

LEONARD. Na co ta odwłoka, te półśrodki, układy — rozmowy? — Kiedym przysiągł uwielbiać i słuchać ciebie, to, że cię miałem za bohatera ostateczności, za orła, lecącego wprost do celu, za człowieka, stawiającego siebie i swoich wszystkich na jedną kartę. —

PANKRACY. Milcz, dziecko. —

LEONARD. Wszyscy gotowi — przechrzty broń ukuli i powrozów nasnuli — tłumy krzyczą, wołają o rozkaz; daj rozkaz, a on pójdzie, jak iskra, jak błyskawica, i w płomień się zamieni, i przejdzie w grom. —

PANKRACY. Krew ci bije do głowy — to konieczność lat twoich, a z nią walczyć nie umiesz, i to nazywasz zapalem. —

LEONARD. Rozważ, co czynisz. Arystokraty w bezsilności swojej zawarli się w Św. Trójcy <sup>1)</sup> i czekają naszego przybycia, jak noża gilotyny. — Naprzód, Mistrzu, bez zwłoki naprzód, i po nich.

PANKRACY. Wszystko jedno — oni stracili siły ciała w rozkoszach, siły rozumu w próżniactwie — jutro czy pojutrze legnąć muszą. —

LEONARD. Kogóż się boisz — któż cię wstrzymuje? —

PANKRACY. Nikt — jedno wola moja. —

LEONARD. I na ślepo jej mam wierzyć?

PANKRACY. Zaprawdę ci powiadam — na ślepo. —

LEONARD. Ty nas zdradzasz. —

PANKRACY. Jak zwrotka u pieśni, tak zdrada u końca każdej mowy twojej — nie krzycz, bo gdyby nas kto podsłuchał...

<sup>1)</sup> Zameczek Św. Trójcy istotnie leży na Podolu. Nazwa ta ma tutaj jednak ogólniejsze znaczenie: wskazuje, że arystokraci występują w obronie religii panującej.



LEONARD. Tu szpiegów niema, a potem cóż?...

PANKRACY. Nic — tylko pięć kul w twoich pierśiach za to, żeś śmiał głos podnieść o ton jeden wyżej w mojej przytomności. — (*przystępuje do niego*). Wierz mi — daj sobie pokój. —

LEONARD. Uniosłem się, przyznaję — ale nie boję się kary. — Jeśli śmierć moja za przykład służyć może, sprawie naszej hartu i powagi dodać, rozkaż. —

PANKRACY. Jesteś żywy, pełny nadziei i wierzysz głęboko — najszcześliwszy z ludzi<sup>1)</sup>, nie chcę pozbawiać cię życia. —

LEONARD. Co mówisz? —

PANKRACY. Myśl więcej, gadaj mniej, a kiedyś mnie zrozumiesz. — Czy posłałeś do magazynu po dwa tysiące ładunków? —

LEONARD. Posłałem Dejca z oddziałem. —

PANKRACY. A składka szewców oddana do kasy naszej?

LEONARD. Z najszczerzym zapałem się złożyli co do jednego i przynieśli sto tysięcy.

PANKRACY. Jutro zaproszę ich na wieczerzę. — Czy słyszałeś co nowego o hrabim Henryku? —

LEONARD. Pogardzam zanadto panami, bym wierzył temu, co o nim mówią — upadające rasy energii nie mają — mieć nie powinny, nie mogą. —

*wyżh* PANKRACY. On jednak zbiera swoich włościian i, zaufany w ich przywiązaniu, gotuje się iść na odsiecz zamkowi Świętej Trójcy<sup>2)</sup>.

LEONARD. Kto nam zdoła się oprzeć — przecię w nas wcieliła się idea wieku naszego. —

PANKRACY. Ja chcę go widzieć — spojrzeć mu w oczy — przeniknąć do głębi serca — przeciągnąć na naszą stronę. —

<sup>1)</sup> Pankracy nie jest tak szczęśliwy, bo przestał wierzyć w siebie samego.

<sup>2)</sup> Podobne objawy łączenia się wiernych chłopów z panami przeciw rewolucjonistom spotykamy w dziejach Wielkiej Rewolucyi we Francyi (t. zw. wojna wandejska).

LEONARD. Zabity arystokrata. —

PANKRACY. Ale poeta zarazem <sup>1)</sup>. — Teraz zostaw mnie samym. —

LEONARD. Przebaczasz mi, obywatelu? —

PANKRACY. Zaśnij spokojnie — gdybym ci nie, przebaczył, jużbyś zasnął na wieki. —

LEONARD. Jutro nic nie będzie? —

PANKRACY. Dobrej nocy i miłego marzenia. —

*(Leonard wychodzi).*

Hej, Leonardzie! —

LEONARD *(wracając)*. Obywatelu wodzu —

PANKRACY. Pojutrze w nocy pójdziesz ze mną do hrabiego Henryka. —

LEONARD. Słyszałem. — *(wychodzi)*.

PANKRACY. Dlaczegoż mnie, wodzowi tysięcy, ten jeden człowiek na zawadzie stoi? — Siły jego małe w porównaniu z moimi — kilkaset chłopów, ślepo wierzących jego słowu, przywiązanych miłością swojskich zwierząt... To nędza, to zero. — Czemuż tak pragnę go widzieć, omacić? — Czyż duch mój napotkał równego sobie i na chwilę się zatrzymał? — Ostatnia to zaporą dla mnie na tych równinach — trza ją obalić, a potem... Myśli moja, czyż nie zdołasz łudzić siebie, jako drugich ludzi — wstydz się, przecię ty znasz swój cel, ty jesteś myślą — panią ludu — w tobie zesła się wola i potęga wszystkich — i co zbrodnią dla innych, to chwałą dla ciebie. — Ludziom podłym, nieznanym nadałaś imiona — ludziom bez czucia wiarę nadałaś — świat na podobieństwo swoje — świat nowy utworzyłaś naokoło siebie — a sama błąkasz się i nie wiesz, czem jesteś. — Nie, nie, nie, — ty jesteś wielką! <sup>2)</sup> *(pada na krzesło i duma)*.

\* \* \*

<sup>1)</sup> A więc człowiek wyższy duchowo, o szlachetniejszych porowach.

<sup>2)</sup> Por. ten monolog Pankracego z poprzednim, na str. 59.

*Bór — porozwieszane płótna na drzewach — w środku łąka, na której stoi szubienica — szalasy — namioty — ogniska — beczki — tłumy ludzi. —*

MAŻ (przebrany, w czarnym płaszczu, z czapką czerwoną wolności<sup>1)</sup>) na głowie, wchodzi, trzymając Przechrzte za ramię). Pamiętaj! —

PRZECHRZTA (po cichu). JW. Panie, oprowadzę cię — nie wydam cię, na honor. —

MAŻ. Mrugnij okiem, palec podnieś, a w łeb strzelę — możesz się domyślić, że nie dbam o życie twoje, kiedym własne na to odważył. —

PRZECHRZTA. Aj waj! — żelaznymi kleszczami dłoń mi ściskasz — cóż mam robić?

MAŻ. Mów ze mną, jak ze znajomym, z przyjacielem nowo przybyłym. — Cóż to za taniec? —

PRZECHRZTA. Taniec wolnych ludzi.

*(Tańczą mężczyźni i kobiety wokoło szubienicy i śpiewają).*

CHÓR. Chleba, zarobku, drzewa na opał w zimie, odpoczynku w lecie! — Hura — Hura!

Bóg nad nami nie miał litości — Hura — Hura! —

Królowie nad nami nie mieli litości — Hura — Hura! —

Panowie nad nami nie mieli litości — Hura — Hura! —

My dziś Bogu, królom i panom za służbę podziękujęm — Hura — Hura! —

MAŻ (do dziewczyny). Ciesz się, żeś taka rumiana i wesoła.

DZIEWCZYNA. A dyć tośmy długo na taki dzień czekały — juści ja myłam talerze, widelce szurowała ścierką, dobrego słowa nie słyszała nigdy — a dyć czas, czas, bym jadła sama — tańcowała sama — Hura! —<sup>2)</sup>

MAŻ. Tańcz, obywatelko. —

<sup>1)</sup> Frygijska czerwona czapka, używana podczas Wielkiej Rewolucji francuskiej, jako symbol równości i wolności.

<sup>2)</sup> Przemówienie dziewczyny przypomina rozmowę, którą miał poeta w r. 1831 w miasteczku Ferney, pod Genewą, z dziewczyną, usługującą w karczmie.

PRZECHRZTA (*cicho*). Zmiłuj się, JW. Panie — ktoś może cię poznać — wychodźmy. —

MAŻ. Jeśli kto mię pozna, toś zginął — idźmy dalej. —

PRZECHRZTA. Pod tym dębem siedzi klub lokajów. —

MAŻ. Przybliżmy się.

PIERWSZY LOKAJ. Jużem ubił mojego dawnego pana. —

DRUGI LOKAJ. Ja szukam dotąd mojego barona — zdrowie twoje! —

KAMERDYNER. Obywatele, schyleni nad prawidłem<sup>1)</sup> w pocie i poniżeniu, glancując buty, strzyżąc włosy, poczuliśmy prawa nasze, — zdrowie klubu całego! —

CHÓR LOKAJ. Zdrowie Prezesa — on nas powiedzie drogą honoru. —

KAMERDYNER. Dziękuję, obywatele. —

CHÓR LOKAJ. Z przedpokojów, więzień naszych, razem, zgodnie, jednym wypadliśmy rzutem — Wiwat! — Salonów znamy śmieszności i wszeteczeństwa — Wiwat! — Wiwat! —

MAŻ. Cóż to za głosy, twardsze i dziksze, wychodzące z tej gęstwiny na lewo? —

PRZECHRZTA. To chór rzeźników, JW. Panie. —

CHÓR RZEŹNIKÓW. Obuch i nóż, to broń nasza — szlachtuz, to życie nasze. — Nam jedno: czy było, czy panów rznąć. —

Dzieci siły i krwi, obojętnie patrzym na drugich słabszych i bielszych — kto nas powoła, ten nas ma — dla panów woły, dla ludu panów bić będziemy.

Obuch i nóż broń nasza — szlachtuz życie nasze — szlachtuz — szlachtuz — szlachtuz<sup>2)</sup>. —

MAŻ. Tych lubię — przynajmniej nie wspominają ani o honorze, ani o filozofii. — Dobry wieczór Pani. —

PRZECHRZTA (*cicho*). JW. Panie, mów „obywatelko“ — lub „wolna kobieto“. —

KOBIETA. Cóż znaczy ten tytuł, skąd się wyrwał? — Fe — fe — cuchniesz starzyzną. —

<sup>1)</sup> Prawidło — ogólne miano rozlicznych narzędzi, używanych w różnych rzemiosłach.

<sup>2)</sup> Chór rzeźników — to wcielenie krwawych instynktów tłumu.

MAŻ. Język mi się zaplątał. —

KOBIETA. Jestem swobodną, jako ty, niewiastą wolną, a towarzystwu za to, że mi prawa przyznało, rozdaje miłość moją. —

MAŻ. Towarzystwo znów za to ci dało te pierścienie i ten łańcuch ametystowy. — Och! podwójnie dobroczynne towarzystwo! —

KOBIETA. Nie, te drobnostki zdarłam przed wyzwoleniem mojem — z męża mego, wroga mego, wroga wolności, który mnie trzymał na uwięzi. —

MAŻ. Życzę obywatelce miłej przechadzki. — (*przechodzi*).

Któż jest ten dziwny żołnierz — oparty na szabli obosiecznej, z główką trupa na czapce, z drugą na felcechu<sup>1)</sup>, z trzecią na piersiach? — Czy to nie sławny Bianchetti, taki dziś kondotyer<sup>2)</sup> ludów, jako dawniej bywali kondotyery książąt i rządów? —

PRZECHRZTA. On sam, JW. Panie — dopiero od tygodnia do nas przybyły. —

MAŻ. Nad czym tak zamyślił się Generał?

BIANCHETTI. Widzicie, obywatele, ową lukę między jaworami? — Patrzcie dobrze — dojrzyjcie tam na górze zamek — doskonale widzę przez moją lunetę mury, okopy, i cztery bastiony<sup>3)</sup>. —

MAŻ. Trudno go opanować.

BIANCHETTI. Tysiąc tysięcy królów! — można obejść jarem, podkopać się i...

PRZECHRZTA (*mrugając*). Obywatelu Generale. —

MAŻ (*po cichu*). Czujesz ten kurek odwiedziony pod moim płaszczem? —

PRZECHRZTA (*na stronie*). Aj waj! — (*głośno*) Jakżeś więc to ułożył, obywatelu Generale? —

BIANCHETTI (*zadumany*). Chociażeście moi bracia w wolności, nie jesteście moimi braćmi w geniuszu — po

<sup>1)</sup> Felcech — taśma od szabli.

<sup>2)</sup> Kondotyer — wódz wojsk najemnych.

<sup>3)</sup> Bastyon — narożnik, wystająca część walu w fortecy.

zwycięstwie dowie się każdy o moich planach <sup>1)</sup> — (*odchodzi*).

MAŻ (*do Przechrzty*). Radzę wam, go zabijcie, bo tak się poczyna każda arystokracja. —

RZEMIEŚLNIK. Przekłństwo — przekłństwo! —

MAŻ. Co robisz pod tem drzewem, biedny człowiecze — czemu patrzysz tak dziko i mgławo? —

~~RZEMIEŚLNIK~~. Przekłństwo kupcom, dyrektorom fabryki — najlepsze lata, w których inni ludzie kochają dziewczyny, biją się na otwartem polu, żeglują po otwartych morzach, ja prześlęczałem w ciasnej komorze, nad warsztatem jedwabiu <sup>2)</sup>. —

MAŻ. Wychylże czarę, którą trzymasz w dłoni. —

RZEMIEŚLNIK. Sił nie mam — podnieść do ust nie mogę — ledwo się tutaj przyczołgałem, ale dla mnie już nie zaświta dzień wolności. — Przekłństwo kupcom, co jedwab sprzedają, i panom, co noszą jedwabie — przekłństwo — przekłństwo! — (*umiera*). |

PRZECHRZTA. Jaki brzydki trup! —

MAŻ. Tchórzcu wolności, obywatelu przechrzto, patrz na tę głowę bez życia, pływającą w pokrwawie <sup>3)</sup> zachodzącego słońca. —

Gdzie się podzieją teraz wasze wyrazy — wasze obietnice — równość — doskonałość i szczęście rodu ludzkiego? —

PRZECHRZTA (*na stronie*). Bodajbyś także zawcześniej <sup>4)</sup> zdechł i ciało twoje psy rozerwały na sztuki! — (*głośno*) Puszczaj mnie — muszę zdać sprawę z mojego poselstwa. —

MAŻ. Powiesz, zem cię miał za szpiega i dlatego zatrzymał. — (*obziera się naokoło*) Odgłosy biesiady głuchną z tyłu — przed nami już same tylko sosny i świerki, oblane promieniami wieczoru. —

<sup>1)</sup> Bianchetti wyobraża dyktaturę wojskową, która często wznosi się na gruzach rewolucji (por. Cezar, Cromwell, Napoleon I i III).

<sup>2)</sup> Wspomnienie zaburzeń wśród robotników fabryk jedwabiu w Lyonie, w listopadzie 1831 r.; Krasiński bawił wówczas w Genewie.

<sup>3)</sup> Pokrwawa — krwawy odbłask, łuna, zorza.

<sup>4)</sup> T. j. przedwcześnie.

PRZECHRZTA. Nad drzewami skupiają się chmury — lepiejbyś wrócił do swoich ludzi, którzy i tak już oddawna czekają na ciebie w jarze Św. Ignacego. —

MAŻ. Dzięki ci za troskliwość, Mości Żydzie — nadzad! — Chcę obywateli raz jeszcze w zmięszchu obejrzeć. —

GŁOS POMIĘDZY DRZEWAMI. Syn chamów<sup>1)</sup> dobranoc zasyła staremu słońku.

GŁOS Z PRAWEJ. Zdrowie twoje, dawny wrogu nasz, coś nas pędził do pracy i znoju — jutro, wschodząc, zastaniesz twoich niewolników przy mięsiwie i konwiach — a teraz, szklanko, idź do czarta! —

PRZECHRZTA. Orszak chłopów tu ciągnie. —

MAŻ. Nie wyrwiesz się — stój za tym pnem i milcz.

CHÓR CHŁOPÓW. Naprzód, naprzód! pod namioty, do braci naszych — naprzód, naprzód! pod cień jaworów, na sen, na miłą wieczorną gawędkę — tam dziewczki nas czekają — tam woły pobite, dawne pługów zaprzęgi, czekają nas. —

GŁOS JEDEN. Ciągnę go i wlokę, zżyma się i opiera — idź w rekruty — idź! —

GŁOS PANA. Dzieci moje, litości, litości! —

GŁOS DRUGI. Wróc mi wszystkie dni pańszczyzny. —

GŁOS TRZECI. Wskrześ mi syna, panie, z pod batógów kozackich<sup>2)</sup>. —

GŁOS CZWARTY. Chamy piją zdrowie twoje, panie — przepraszają cię, panie. —

CHÓR CHŁOPÓW (*przechodząc*). Upiór ssał krew i poty nasze — mamy upiora — nie puścim upiora — przez biesa, przez biesa, ty zginiesz wysoko, jako pan, jako wielki pan, wzniesion nad nami wszystkimi. — Panom tyranom śmierć — nam biednym, nam głodnym, nam strudzonym jeść, spać i pić. — Jako snopy na polu, tak ich trupy będą — jako plewy w młockarniach, tak perzyny ich zamków — przez kosy nasze, siekiery i cepy, bracia, naprzód!<sup>3)</sup>

<sup>1)</sup> T. j. chłop; wedle rozpowszechnionej w w. XVII i XVIII tradycji szlachta polska wywodziła siebie od Jafeta, a chłopów od Chama.

<sup>2)</sup> Mowa tu o kozakach nadwornych u magnatów na Ukrainie.

<sup>3)</sup> Wspomnienie buntów i rzezi hajdamackich.

MAŻ. Nie mogłem twarzy dojrzeć wśród zastępów. —

PRZECHRZTA. Może jaki przyjaciel lub krewny JWgo.

MAŻ. Nim pogardzam, a was nienawidzę — poezya to wszystko ozłoci kiedyś. — Dalej, Żydzie — dalej! — (*zapuszcza się w krzaki*).

\* \* \*

*Inna część boru — wzgórze z rozpalonymi ogniami — zgromadzenie ludzi przy pochodniach. —*

MAŻ (*na dole, wysuwając się z za drzew z Przechrztą*). Gałęzie podarły na łachmany moją czapkę wolności — A to co za piekło z rudawych płomieni, wznoszące się wśród tych dwóch ścian lasu, tych dwóch nawałów ciemności? —

PRZECHRZTA. Zabłądziliśmy, szukając wąwozu Świętego Ignacego — nazad w krzaki, bo tu Leonard odprawia obrzędy nowej wiary. —

MAŻ (*wstępując*). Przez Boga, naprzód! — tegom żądał właśnie, nie lękaj się, nikt nas nie pozna. —

PRZECHRZTA. Ostrożnie — powoli! —

MAŻ. Wszędzie rozwaliny jakiegoś ogromu, który musiał wieki przetrwać, nim runął — filary, podnóża, kapitele! <sup>1)</sup> — ćwiertowane posągi, rozrzucone floresy <sup>2)</sup>, którymi oplatano starodawne sklepienia — teraz mi pod stopą zamignęła stłuczona szyba — zda się, że twarz Bogarodzicy na chwilę wyjrzała z cieniu <sup>3)</sup>, i znów tam ciemno — tu, patrz, cała arkada <sup>4)</sup> leży — tu krata żelazna, zasypana gruzem — z góry lunął błysk pochodni — widzę pół rycerza, śpiącego na połowie grobu — gdzież jestem, przewodniku? —

PRZECHRZTA. Nasi ludzie krwawo pracowali przez czterdzieści dni i nocy, aż wreszcie zburzyli ostatni kościół na tych równinach. — Teraz właśnie cmentarz mijamy. —

<sup>1)</sup> Kapitel — głowica kolumny.

<sup>2)</sup> Floresy — ozdoby architektoniczne w kształcie liści z gałązkami.

<sup>3)</sup> Malowana na szybie, witraż.

<sup>4)</sup> Sklepienie łukowe.



MAŻ. Wasze pieśni, ludzie nowi, gorzko brzmią w moich uszach <sup>1)</sup> — czarne postacie z tyłu, z przodu, po bokach się cisną, a pędzone wiatrem blaski i cienie przechadzają się po tłumie, jak żyjące duchy. —

PRZECHODZĄCY. W imieniu wolności pozdrawiam was obu. —

DRUGI. Przez śmierć panów witam was obu. —

TRZECI. Czego się nie śpieszycie? Tam śpiewają kapłani wolności. —

PRZECHRZTA. Niepodobna się oprzeć — zewsząd nas pchają. —

MAŻ. Któż jest ten młody człowiek, na gruzach przybytku stojący? — Trzy ogniska palą się pod nim, wśród dymu i łuny, twarz jego płonie, głos jego brzmi szaleństwem. —

PRZECHRZTA. To Leonard, prorok natchnięty wolności — naokoło stoją nasze kapłany, filozofy, poeci, artyści, córki ich i kochanki. —

MAŻ. Ha! wasza arystokracja — pokaż mi tego, który cię przysłał. —

PRZECHRZTA. Nie widzę go tutaj. —

*zoda* LEONARD. Dajcie mi ją do ust, do piersi, w objęcia <sup>2)</sup>, dajcie piękną moją, niepodległą, wyzwoloną, obnażoną z zasłon i przesądów, wybraną z pośród córek wolności <sup>3)</sup>, oblubienicę moją. —

GŁOS DZIEWICY. Wirywam się do ciebie, mój kochanku. —

DRUGI GŁOS. Patrz, ramiona wyciągam do ciebie — upadłam z niemocy — tarzam się po zgliszczach, kochanku mój. —

<sup>1)</sup> Henryk boleje nie tylko nad upadkiem religii, ale i kultu, zawierającego w sobie pierwiastek piękna.

<sup>2)</sup> S. Simoniści głosili między innymi wyzwolenie kobiety.

<sup>3)</sup> Obrządek, tu przedstawiony, przypomina w zasadzie hasła uczniów myśliciela francuskiego, Saint-Simona (1780 † 1825), jednego z poprzedników dzisiejszego socjalizmu, a zwłaszcza Enfantina Między innymi głosił Enfantin, że dopiero mężczyzna i kobieta razem tworzą doskonałego kapłana (c o u p l e p r ê t r e).

TRZECI GŁOS. Wyprzedziłam je — przez popiół i żar, ogień i dym, stąпам ku tobie, kochanku mój. —

MAŻ. Z rozpuszczonym włosom, z dyszącą piersią wdziera się na gruzy namiętymi podrzuty.

PRZECHRZTA. Tak co noc bywa. —

LEONARD. Do mnie, do mnie, o rozkoszo <sup>1)</sup> moja — córo wolności. — Ty drżysz w boskim szale? — Natchnienie, ogarnij mą duszę — słuchajcie wszyscy — teraz wam proro-kować będę. —

MAŻ. Głowę pochyliła, mdleje. —

LEONARD. My oboje obrazem rodu ludzkiego, wy-zwolonego, zmartwychwstającego — patrzcie — stoim na roz-walinach starych kształtów, starego Boga. — Chwała nam, bośmy członki Jego rozerwali, teraz proch i pył z nich — a duch Jego zwyciężyli naszymi duchami — duch Jego zstą-pił do nicości. —

CHÓR NIEWIAST. Szczęśliwa, szczęśliwa oblubienica Proroka — my tu na dole stoimy i zazdrościm jej chwały. —

LEONARD. Świat nowy ogłaszam — Bogu nowemu oddaję niebiosą. — Panie swobody i rozkoszy, Boże ludu, każda ofiara zemsty, trup każdego ciemieżcy twoim niech będzie ołtarzem — w oceanie krwi utoną stare łyzy i cier-pienia rodu ludzkiego — życiem jego odtąd szczęście — prawem jego równość — a kto inne tworzy, temu strydzek i przeklęstwo. —

CHÓR MĘŻÓW. Rozpadła się budowa ucisku i du-my — kto z niej choć kamyczek podniesie, temu śmierć i przeklęstwo.

PRZECHRZTA (*na stronie*). Bluźnierce Jehowy, po trzykroć pluję na zgubę wam. —

MAŻ. Orle, dotrzyмай obietnicy <sup>2)</sup>, a ja tu na ich karkach nowy kościół Chrystusowi postawię. —

POMIESZANE GŁOSY. Wolność — szczęście — hura! — hejże! — rykacha! — hurracha! — hurracha! —

<sup>1)</sup> Forma prawidłowa będzie: o rozkoszy!

<sup>2)</sup> T. j. obietnicy zwycięstwa i chwały.

CHÓR KAPŁANÓW. Gdzie pany, gdzie króle, co niedawno przechadzali się po ziemi, w berłach i koronach, w dumie i gniewie? —

ZABÓJCA. Ja zabiłem króla Aleksandra. —

DRUGI. Ja króla Henryka. —

TRZECI. Ja króla Emanuela. —

LEONARD. Idźcie bez trwogi i mordujcie bez wyrzutów — boście wybrani z wybranych, święci wśród najświętszych, — boście męczennikami — bohaterami wolności. —

CHÓR ZABÓJCÓW. Pójdziemy nocą ciemną, sztylety ściskając w dłoniach, pójdziemy, pójdziemy. —

LEONARD. Obudź się, urodziwa moja! —

(grzmot słychać)

Nuż, odpowiedzcie żyjącemu Bogu — wzniescie pieśni wasze — chodźcie za mną wszyscy, wszyscy, jeszcze raz obejdziem i zdepcem świątynię umarłego Boga <sup>1)</sup>. —

A ty podnieś głowę — powstań i obudź się! —

DZIEWICA. Pałam miłością ku tobie i Bogu twemu, światu całemu miłość rozdaję moją — płonę — płonę. —

MĄŻ. Ktoś mu zabiegł — padł na kolana — mocuje się sam z sobą, coś bełkoce, coś jęczy. —

PRZECHRZTA. Widzę, widzę, to syn sławnego Filozofa <sup>2)</sup>. —

LEONARD. Czego żądasz, Hermanie? —

HERMAN. Arcykapłanie, daj mi święcenie zbójckie. —

LEONARD (do kapłanów). Podajcie mi olej, sztylet i truciznę. — (do Hermana) Olejem, którym dawniej namaszczano królów, na zgubę królom namaszczam cię dzisiaj — broń dawnych rycerzy i panów na zaturę panów kładę w ręce twoje — na twoich piersiach zawieszam medalion, pełny trucizny — tam, gdzie twoje żelazo nie dojdzie, niech ona żre i pali wnętrzości tyranów. — Idź i niszczone pololenia po wszech stronach świata. —

<sup>1)</sup> Saint-Simoniści między innymi zacięciem walczyli przeciw katolicyzmowi.

<sup>2)</sup> Por. scenę Męża z Filozofem na str. 46.

MAŻ. Ruszył z miejsca i na czele orszaku ciągnie po wzgórzu. —

PRZECHRZTA. Usuńmy się z drogi. —

MAŻ. Nie — chcę tego snu dokończyć. —

PRZECHRZTA. Po trzykroć pluję na ciebie. — (*do Męża*) Leonard może mnie poznać, JW. Panie — patrz, jaki nóż wisi na jego piersiach. —

MAŻ. Zakryj się płaszczem moim. — Co to za niewiasty przed nim tańczą? —

PRZECHRZTA. Hrabiny i księżniczki, które, porzucawszy mężów, przeszły na wiarę naszą. —

MAŻ. Niegdyś anioły moje. — Pospólstwo go zewsząd oblało — zginął mi w natłoku — jedno po muzyce poznaję, że się od nas oddala. — Chodź za mną — stamtąd lepiej nam patrzeć będzie. — (*wdziera się na odłamek muru*).

PRZECHRZTA. Aj waj, aj waj! każdy nas tu spostrzeże. —

MAŻ. Widzę go znowu — drugie<sup>1)</sup> niewiasty cisną się za nim, blade, obłąkane, w konwulsjach. — Syn filozofa pieni się i potrząsa sztyletem. — Dochodzą taraz do ruin wieży północnej. —

Stanąłi — płasają na gruzach — rozrywają nieobalone arkady — sypią iskrami na leżące ołtarze i krzyże — płomień się zajmuje i gna słupy dymu przed sobą — biada wam — biada! —

LEONARD. Biada ludziom, którzy się dotąd kłaniają umarłemu Bogu. —

MAŻ. Czarne bałwany nawracają się i ku nam pędzą. —

PRZECHRZTA. O Abrahamie! —

MAŻ. Orle, wszak moja godzina nie tak blizka jeszcze? —

PRZECHRZTA. Już po nas. —

LEONARD (*przechodząc, zatrzymuje się*). Coś ty za jeden, bracie, z taką dumną twarzą — czemu nie łączysz się z nami? —

MAŻ. Śpieszę z daleka na odgłos waszego powstania. — Jestem morderca klubu hiszpańskiego i dopiero dziś przybyłem. —

<sup>1)</sup> Zam.: inne

LEONARD. A ten drugi po co się w zwojach płaszcza twego kryje? —

MAŻ. To mój brat młodszy — ślubował, że twarzy ludziom nie ukaże, nim zabije przynajmniej barona. —

LEONARD. Ty sam czyją śmiercią się chlubisz? —

MAŻ. Na dwa dni tylko przed wybraniem się w drogę starsi bracia dali mi święcenie. —

LEONARD. Kogóż masz na myśli?

MAŻ. Ciebie pierwszego, jeśli się nam sprzeniewierzysz. —

LEONARD. Bracie, na ten użytek weź sztylet mój. —  
(wyciąga sztylet z pasa).

MAŻ (dobywa swojego sztyletu). Bracie, na ten użytek i mojego wystarczy. —

GŁOSY LUDZI. Niech żyje Leonard! — niech żyje morderca hiszpański! —

LEONARD. Jutro staw się u namiotu obywatela wodza. —

CHÓR KAPŁANÓW. Pozdrawiamy cię, gościu, imieniem ducha wolności — w rękę twoją <sup>1)</sup> część naszego zbawienia. — Kto walczy bez ustanku, morduje bez słabości, kto dniem i nocą wierzy zwycięstwu, ten zwycięży wreszcie. — (przechodzą).

CHÓR FILOZOFÓW. My ród ludzki dźwignęli z dzieciństwa. — My prawdę z łona ciemności wyrwali <sup>2)</sup> na jaśnią. — Ty za nią walcz, morduj i giń! (przechodzą).

SYN FILOZOFA. Towarzyszu bracie, czaszką starego świętego piję zdrowie twoje — do widzenia. — (rzuca czaszkę).

DZIEWCZYNA (tańcząc). Zabij dla mnie księcia Jana. —

DRUGA. Dla mnie hrabiego Henryka. —

DZIECI. Prosimy cię ślicznie o głowę arystokraty. —

INNI. Szczęść się twojemu sztyletowi! —

CHÓR ARTYSTÓW. Na ruinach gotyckich <sup>3)</sup> świątynię zbudujęm tu nową — obrazów w niej ni posągów nie-

<sup>1)</sup> Pow. b.: w rękę twoich.

<sup>2)</sup> Pow. b.: my dźwignęliśmy, my wyrwaliśmy.

<sup>3)</sup> T. j. na ruinach kościołów w stylu gotyckim.

ma — sklepienie w długie pugiwały, filary w osiem głów ludzkich, a szczyt każdego filara jako włosy, z których się krew sączy — ołtarz jeden biały — znak jeden na nim — czapka wolności — Hurracha! — Hurracha! —

INNI. Dalej, dalej, już brzask świta. —

PRZECHRZTA. Rychło nas powieszą — gdzie szubienica. —

MAŻ. Cicho, Żydzie — lecą za Leonardem, nie patrzają na nas. — Ogarniam wzrokiem, raz ostatni podchwytuję myślą ten chaos, dobywający się z toni czasu, z łona ciemności, na zgubę moją i wszystkich braci moich — gnane szałem, porwane rozpaczą myśli moje w całej sile swej kołują. —

Boże, daj mi potęgę, której nie odmawiałeś mi nigdy — a w jedno słowo zamknę świat ten nowy, ogromny — on siebie sam nie pojmuje. — Lecz to słowo moje będzie poezją całej przyszłości<sup>1)</sup>. —

GŁOS W POWIETRZU. Dramat układasz. —

MAŻ. Dzięki za radę. — Zemsta za zhańbione popioły ojców moich — przeklęstwo nowym pokoleniom — ich wir mnie otacza — ale nie porwie za sobą — Orle, orle, dotrzyмай obietnicy!<sup>2)</sup> — A teraz na dół ze mną i do jaru Św. Ignacego.

PRZECHRZTA. Już dzień blizki — nie pójdę dalej. —

MAŻ. Drogę mi znajdź, puszczyć cię potem. —

PRZECHRZTA. Wśród mgły i zwalisk, cierni i popiołów gdzie mnie wleciesz? — Daruj mi, daruj. —

MAŻ. Naprzód, naprzód i na dół ze mną! — Ostatnie pieśni ludu konają za nami — ledwo gdzie jeszcze tli się pochodnia — pośród tych wyziewów białych, tych zroszonych drzew czy widzisz cienie przeszłości — czy słyszysz te żalobne głosy? —

<sup>1)</sup> Monolog ten świadczy, że w duszy Henryka budzi się pragnienie przeobrażenia stosunków społecznych własną wolą i energią. Ale płynie ono nie z serca, lecz z wyobraźni, to tylko „poezja“, i dlatego Henryk pozostaje na wytkniętej drodze.

<sup>2)</sup> Por. jedną z ostatnich scen II części.

PRZECHRZTA. Mgła wszystko zalewa — coraz bardziej zlatujemy w dół. —

CHÓR DUCHÓW Z LASU. Płaczymy za Chrystusem, za Chrystusem wygnanym, umęczonym — gdzie Bóg nasz, gdzie kościół Jego? —

MAŻ. Prędjiej, prędjiej do miecza, do boju! — Ja Go wam oddam — na tysiącach krzyżów rozkrzyżuję nieprzyjaciół Jego. —

CHÓR DUCHÓW. Strześliśmy ołtarzy i pomników świętych — odgłos dzwonów na skrzydłach nosiliśmy wiernym — w dźwiękach organów były głosy nasze — w polyskach szyb katedry, w cieniach jej filarów, w blaskach puharu świętego<sup>1)</sup>, w błogosławieństwie Ciała Pańskiego było życie nasze<sup>2)</sup>. Teraz gdzie się podziejemy? —

MAŻ. Rozwidnia się coraz bardziej — ich postacie mdleją w promieniach zorzy. —

PRZECHRZTA. Tędy droga twoja, tam jaru początek. —

MAŻ. Hej! — Jezus i szabla moja! —

*(Zrzucając czapkę i zawijając w niej pieniądze).*

Weź na pamiątkę rzecz i godło zarazem. —

PRZECHRZTA. Wszak zaręczyłeś mi słowem, JW. Panie, bezpieczeństwo tego, który dziś o północy...

MAŻ. Stary szlachcic dwa razy nie powtarza słowa — Jezus i szabla moja! —

GŁOSY W KRZAKACH. Marya i szabla nasza — niech pan nasz żyje! —

MAŻ. Wiara! do mnie — bądź zdrów, obywatelu! — Wiara! do mnie — Jezus i Marya!<sup>3)</sup> —

\* \* \*

1) Kielich Eucharystyi.

2) Por. monolog Henryka na str. 68.

3) Wędrowka hr. Henryka pod wodzą Przechrzty po obozie demokratycznym przypomina nieco „Piekło” Dantego, po którym kroczy poeta pod przywództwem Wergiliusza

*Noc — krzaki — drzewa.*

PANKRACY (*do swoich ludzi*). Położyć się twarzą do murawy — leżeć w milczeniu — ognia mi nie krzesać, nawet do fajki — a za pierwszym strzałem skoczyć mi na pomoc. — Jeśli strzału nie będzie, nie ruszać się do dnia białego. —

LEONARD. Obywatelu, raz cię jeszcze zaklinam. —

PANKRACY. Ty przylep się do tej sosny i dumaj. —

LEONARD. Mnie jednego przynajmniej weź z sobą — to pan, to arystokrata, to kłamca. —

PANKRACY (*wskazuje mu ręką, by został*). Stara szlachta słowa dotrzymuje czasem.

\* \* \*

*Komnata podłużna — obrazy dam i rycerzy porozwieszane po ścianach — w głębi filar z tarczą herbowną — Maż siedzi przy stoliku marmurowym — na którym lampa, para pistoletów, pałasz i zegar — naprzeciwko drugi stolik, srebrne konwie i pułhary.*

MAŻ. Niegdyś o tej samej porze wśród groźących niebezpieczeństw i podobnych myśli Brutusowi ukazał się geniusz Cezara <sup>1)</sup>.

I ja dziś czekam na podobne widzenie. — Za chwilę stanie przede mną człowiek bez imienia, bez przodków, bez anioła stróża — co wydobyl się z nicości i zacznie może nową epokę, jeśli go w tył nie odrzucę назад, nie strącę do nicości. —

Ojcowie moi, natchnijcie mnie tem, co was panami świata uczyniło — wszystkie lwie serca wasze dajcie mi do piersi — powaga skroni waszych niechaj się zleje na czoło moje. — Wiara w Chrystusa i Kościół Jego, ślepa, nieubłagana, wrząca, natchnienie dzieł waszych na ziemi, nadzieja chwały nieśmiertelnej w niebie, niechaj zstąpi na

<sup>1)</sup> W przeddzień bitwy pod Filippami (42 r. przed Chr.) Brutusowi miał ukazać się duch Juliusza Cezara (por. Szekspira „Juliusza Cezara“).



mnie, a wrogów będę mordował i palił, ja, syn stu pokoleń, ostatni dziedzic waszych myśli i dzielności, waszych cnót i błędów. —

*(Bije dwunasta).*

Teraz gotów jestem. — *(wstaje).*

SŁUGA ZBROJNY *(wchodząc).* JW. Panie, człowiek, który miał się stawić, przybył i czeka. —

MAŻ. Niech wejdzie. —

*(Sługa wychodzi).*

PANKRACY *(wchodząc).* Witam hrabiego Henryka. — To słowo „hrabia“ dzwonię brzmi w gardle mojem. — *(Siada — rzuca płaszcz i czapkę wolności i wlepia oczy w kolumnę, na której herb wisi).*

MAŻ. Dzięki ci, żeś zaufał domowi mojemu — starym zwyczajem piję zdrowie twoje. — *(bierze pułkar, pije i podaje Pankracemu).*

Gościu, w ręce twoje! —

PANKRACY. Jeśli się nie mylę, te godła czerwone i błękitne zowią się herbem w języku umarłych. — Coraz mniej takich znaczków na powierzchni ziemi. *(pije).*

MAŻ. Za pomocą Bożą wkrótce tysiące ich ujrzysz <sup>1)</sup>. —

PANKRACY *(pułkar od ust odejmując).* Otóż mi stara szlachta — zawsze pewna swego — dumna, uporczywa, kwitnąca nadzieją, a bez grosza, bez oręża, bez żołnierzy — odgrążająca się, jak umarły w bajce powoźnikowi <sup>2)</sup> u furtki cmentarza — wierząca lub udająca, że wierzy w Boga — bo w siebie trudno wierzyć. — Ale pokażcie mi pioruny, na waszą obronę zesłane, i pułki aniołów, spuszczone z niebios. — *(pije).*

MAŻ. Śmieję się z własnych słów. — Ateizm to stara formuła — a spodziewałem się czegoś nowego po tobie. —

PANKRACY. Śmieję się z własnych słów. — Ja mam wiarę silniejszą, ogromniejszą od twojej. — Jęk, przez roz-

<sup>1)</sup> Henryk mówi nieszczerze, sam bowiem nie wierzy w możliwość swego zwycięstwa.

<sup>2)</sup> Powoźnik — woźnica.

pacz i boleść wydarty tysiącom tysięcy — głód rzemieślników — nędza włościan — hańba ich żon i córek — poniżenie ludzkości, ujarzmionej przesądem, wahaniem się i bydlęcem przyzwyczajeniem — oto wiara moja a Bóg mój na dzisiaj — to myśl moja — to potęga moja, która chleb i cześć im rozda na wieki. — (*pije i rzuca kubek*).

MAŻ. Ja położyłem siłę moją w Bogu, który ojcom moim panowanie nadał. —

PANKRACY. A całe życie byłeś dyabła <sup>1)</sup> igrzyskiem. —

Zresztą zostawiam tę rozprawę teologom, jeśli jaki pedant <sup>2)</sup> tego rozwiósł żyje dotąd w całej okolicy — do rzeczy — do rzeczy! —

MAŻ. Czegóż więc żądasz ode mnie, zbawco narodów, obywatelu-boże?

PANKRACY. Przyszedłem tu, bo chciałem cię poznać — powtóre ocalić. —

MAŻ. Wdzięcznym za pierwsze — drugie zdaj na szablę moją. —

PANKRACY. Szabla twoja — szkło, Bóg twój — mara. — Potępionyś głosem tysięcy — opasanyś ramionami tysięcy — kilka morgów ziemi wam zostało, co ledwo na wasze groby wystarczy — dwudziestu dni bronić się nie możecie. — Gdzie wasze działa, rynsztunki, żywność — a wreszcie gdzie męstwo?...

Gdybym był tobą, wiem, cobym uczynił. —

MAŻ. Słucham — patrz, jakim cierpliwym. —

PANKRACY. Ja więc, hr. Henryk, rzekłbym do Pankracego: „Zgoda — rozpuszczam mój hufiec, mój hufiec jedyny — nie idę na odsiecz Świętej Trójcy — a za to zostaję przy mojem imieniu i dobrach, których całość warrujesz mi słowem“. —

Wiele masz lat, hrabio? —

MAŻ. Trzydzieści sześć, obywatelu. —

PANKRACY. Jeszcze piętnaście lat najwięcej — bo tacy ludzie niedługo żyją — twój syn bliższy grobu, niż

<sup>1)</sup> T. j. szatana fałszywej poetyczności i samolubstwa.

<sup>2)</sup> Uczony nudziarz bez wyższego polotu.

młodości — jeden wyjątek ogromowi nie szkodzi. — Bądź więc sobie ostatnim hrabią na tych równinach — panuj do śmierci w domu naddziadów — każ malować ich obrazy i rżnąć herby — a o tych nędzarzach nie myśl już więcej — Niech się wyrok ludu spełni nad nikkzemnikami. — (*nalewa sobie drugi pułar*).

Zdrowie twoje, ostatni hrabio! —

MAŻ. Obrażasz mnie każdym słowem; zda się, próbujesz, czy zdołasz w niewolnika obrócić na dzień tryumfu swego. — Przestań, bo ja ci się odwdzięczyć nie mogę. — Opatrzność mojego słowa cię strzeże. —

PANKRACY. Honor święty, honor rycerski wystąpił na scenę — zwiędły to łachman w sztandarze ludzkości. — O! znam ciebie, przenikam ciebie — pełnyś życia, a łączysz się z umierającymi <sup>1)</sup>, bo chcesz wierzyć jeszcze w kasty, w kości prababek, w słowo *ojczyzna* i tam dalej <sup>2)</sup> — ale w głębi ducha sam wiesz, że braci twojej należy się kara, a po karze niepamięć. —

MAŻ. Tobie zaś i twoim cóż inszego?

PANKRACY. Zwycięstwo i życie. — Jedno tylko prawo uznaję i przed niem kark schylam — tem prawem świat bieży w coraz wyższe kręgi — ono jest zgubą waszą i woła teraz przez moje usta:

„Zgrzybiali, robaczywi, pełni napoju i jadła, ustąpcie młodemu, zgłodniałemu i silnym“.

Ale — ja pragnę cię wyratować — ciebie jednego. —

MAŻ. Bodajbyś zginął marnie za tę litość twoją. — Ja także znam świat twój i ciebie — patrzałem wśród cieniów nocy na płasy motłochu, po którego karkach wspinasz się do góry — widziałem wszystkie stare zbrodnie świata, ubrane w szaty świeże, nowym kołujące tańcem — ale ich koniec ten sam, co przed tysiącami lat — rozpusta, zło i krew <sup>3)</sup>. — A ciebie tam nie było — nie raczyłeś zstąpić

<sup>1)</sup> T. j. z arystokracją, w której obozie walczy.

<sup>2)</sup> Poeta zaznacza tu charakter kosmopolityczny ruchów rewolucyjnych na tle ekonomicznem, częstokroć zauważony.

<sup>3)</sup> To znaczy, że demokratom nie chodzi o jakieś ideały, lecz jedynie o zadowolenie potrzeb fizycznych człowieka.

pomiędzy dzieci twoje — bo w głębi ducha ty pogardzasz nimi — kilka chwil jeszcze, a jeśli rozum cię nie odbieży, ty będziesz pogardzał sam sobą. —

Nie dręcz mnie więcej <sup>1)</sup>. — (*siada pod herbem swoim*)

PANKRACY. Świat mój jeszcze nie rozparł się w polu — zgoda — nie wyrósł na olbrzyma — łąknie dotąd chleba i wygod — ale przyjdą czasy — (*wstaje, idzie ku mężowi i opiera się na herbowym filarze*) ale przyjdą czasy, w których on zrozumie siebie i powie o sobie: „Jestem“ — a nie będzie drugiego głosu na świecie, coby mógł także odpowiedzieć: „Jestem“. —

MAŻ. Cóż dalej? —

PANKRACY. Z pokolenia, które piastuję w sile woli mojej, narodzi się plemię, ostatecznie, najwyższe, najdzielniejsze. — Ziemia jeszcze takich nie widziała mężów. — Oni są ludźmi wolnymi, panami jej od bieguna do bieguna. — Ona cała jednym miastem kwitnącem, jednym domem szczęśliwym, jednym warsztatem bogactw i przemysłu <sup>2)</sup>. —

MAŻ. Słowa twoje kłamią — ale twarz twoja niewzruszona, blada, udać nie umie natchnienia. —

PANKRACY. Nie przerywaj, bo są ludzie, którzy na klęczkach mnie o takie słowa prosili, a ja im tych słów skąpiłem. —

Tam spoczywa Bóg, któremu już śmierci nie będzie — Bóg, pracą i męką czasów odarty z zasłon — zdobyty na niebie przez własne dzieci, które niegdyś porzrzucał na ziemi, a one teraz przejrzały i dostały <sup>3)</sup> prawdy — Bóg ludzkości objawił się im. —

MAŻ. A nam przed wiekami — ludzkość przezeń już zbawiona. —

PANKRACY. Niechże się cieszy takim zbawieniem — nędzą dwóch tysięcy lat, upływających od Jego śmierci na krzyżu. —

<sup>1)</sup> T. j. dłużej (germanizm).

<sup>2)</sup> I Pankracy mówi nieszczerze, podobnie jak i Henryk, bo nie wierzy w słuszność swej sprawy.

<sup>3)</sup> T. j. zdobyły prawdę.

MAŻ. Widziałem ten krzyż, bluźnierco, w starym, starym Rzymie <sup>1)</sup> — u stóp Jego leżały gruzy potężniejszych sił, niż twoje — sto bogów, twemu podobnych, walało się w pyłe, głowy skaleczonej podnieść nie śmiało ku Niemu — a On stał na wysokościach, święte ramiona wyciągał na wschód i na zachód, czoło święte maczał w promieniach słońca — znać było, że jest Panem świata. —

PANKRACY. Stara powiastka — pusta, jak chrzest twego herbu. — (*uderza o tarczę*).

Ale ja dawniej czytałem twe myśli. — Jeśli więc umiesz sięgać w nieskończoność, jeśli kochasz prawdę i szukałeś jej szczerze, jeśliś człowiekiem na wzór ludzkości, nie na podobieństwo mamczyńskich piosneczek, słuchaj, nie odrzucaj tej chwili zbawienia. Krwi, którą oba wylejem dzisiaj, jutro śladu nie będzie — ostatni raz ci mówię — jeżeliś tem, czem wydawałeś się niegdyś, wstań, porzuć dom i chodź za mną <sup>2)</sup>. —

MAŻ. Tyś młodszym bratem szatana. — (*wstaje i przechadza się wzdłuż*). Daremne marzenia — kto ich dopełni? — Adam skonał na pustyni — my nie wrócim do rajy <sup>3)</sup>. —

PANKRACY (*na stronie*). Zagiąłem palec popod serce jego — trafiłem do nerwu poezyi. —

MAŻ. Postęp, szczęście rodu ludzkiego — i ja kiedyś <sup>4)</sup> wierzyłem — ot! macie, weźcie głowę moją, byleby... Stało się. — Przed stoma laty, przed dwoma wiekami, polubowna ugoda mogła jeszcze... ale teraz, wiem — teraz trza

<sup>1)</sup> Echa wspomnień rzymskich Zygmunta, a zwłaszcza widoku krzyża na piasku areny w Koloseum.

<sup>2)</sup> Pankracy kusi Henryka, chcąc odnieść nad nim tryumf moralny. Monolog ten wskazuje, że znali się oni niegdyś, o czem świadczy również „Nie-Boskiej Komedyi“ cz. I, fragment, znaleziony w papierach pośmiertnych poety.

<sup>3)</sup> To, również, jak i następne, przemówienie Henryka świadczy, że i on wierzył niegdyś w przyszłość idei demokratycznej, ale się rozczarował, przekonawszy się, że to, co brał za walkę ideałów, jest tylko zwierzęcą walką o byt. Dlatego też nie wierzy w możliwość porozumienia między walczącymi obozami.

<sup>4)</sup> Właściwie: niegdyś.

mordować się nawzajem — bo teraz im tylko chodzi o zmianę plemienia <sup>1)</sup>. —

PANKRACY. Biada zwyciężonym — nie wahaj się — powtórz raz tylko „biada“ i zwyciężaj z nami. —

MAŻ. Czyś zbadał wszystkie manowce przeznaczenia — czy pod kształtem widomym stanęło ono u wejścia namiotu twojego w nocy i olbrzymią dłonią błogosławiło tobie — lub w dzień czyś słyszał głos jego o południu, kiedy wszyscy spali w skwarze, a tyś jeden rozmyślał — że mi tak pewno grozisz zwycięstwem, człowiecze z gliny, jako ja, niewolniku pierwszej lepszej kuli, pierwszego lepszego cięcia?

PANKRACY. Nie ludź się marną nadzieją — bo nie draśnie mnie ołów, nie tknie się żelazo, dopóki jeden z was opiera się mojemu dziełu, a co później nastąpi, to już wam nic z tego. —

*(Zegar bije).*

Czas szydzi z nas obu. — Jeśliś znudzony życiem, przynajmniej ocal syna swego. —

MAŻ. Dusza jego czysta, już ocalona w niebie — a na ziemi los ojca go czeka. — *(spuszcza głowę między dłonie i staje).*

PANKRACY. Odrzuciłeś więc? —

*(Chwila milczenia).*

Milczysz — dumasz — dobrze — niechaj ten duma, co stoi nad grobem. —

MAŻ. Zdała od tajemnic, które za krańcami twoich myśli odbywają się teraz w głębi ducha mojego! — Świat cielska do ciebie należy — tucz go jadłem, oblewaj posoką i winem — ale dalej nie zachodź i precz, precz ode mnie! —

PANKRACY. Sługo jednej myśli i kształtów jej, pedancie <sup>2)</sup> rycerzu, poeto, hańba tobie! — Patrz na mnie — myśli i kształty są woskiem palców moich. —

<sup>1)</sup> T. j. by ci, co sycili się przy stole bogaczów, ustąpili miejsca „młodemu, zgłodniałemu i silnym“.

<sup>2)</sup> Pedant — człowiek, trzymający się uparcie i z drobiazgową ścisłością pewnych przepisów lub myśli.

MAŻ. Darmo, ty mnie nie zrozumiesz nigdy — bo kaźden <sup>1)</sup> z ojców twoich pogrzeban z motłochem pospołu, jako rzecz martwa, nie jako człowiek z siłą i duchem — (*wyciąga rękę ku obrazom*).

Spojrzyj na te postacie — myśl ojczyzny, domu, rodziny, myśl, nieprzyjaciółka twoja, na ich czołach wypisana zmarszczkami — a co w nich było i przeszło, dzisiaj we mnie żyje. — Ale ty, człowiecze, powiedz mi, gdzie jest ziemia twoja? — Wieczorem namiot twój rozbijasz na gruzach cudzego domu, o wschodzie go zwijas i koczujesz dalej — dotąd nie znalazłeś ogniska swego i nie znajdziesz, dopóki stu ludzi zechce powtórzyć za mną: „Chwała ojcom naszym!“ —

PANKRACY. Tak, chwała dziadom twoim na ziemi i niebie — w rzeczy samej jest na co patrzeć. —

Ów, starosta, baby strzelał po drzewach i Żydów piekł żywcem. — Ten z pieczęcią w dłoni i podpisem — „kanclerz“ — sfałszował akta, spalił archiwa, przekupił sędziów, trucizną przyśpieszył spadki — stąd wsie twoje, dochody, potęga. — Tamten, czarniawy, z ognistem okiem, cudzołożył po domach przyjaciół — ów z runem złotem <sup>2)</sup>, w kolczudze <sup>3)</sup> włoskiej, znać służył u cudzoziemców — a ta pani blada, z ciemnymi puklami, kaziła się z giemkiem swoim — tamta czyta list kochanka i śmieje się, bo noc bliska — tamta, z pieskiem na robronie <sup>4)</sup>, królów była nałożnicą. — Stąd wasze genealogie bez przerwy, bez plamy. — Lubię tego w zielonym kaftanie — pił i polował z bracią szlachtą, a chłopów wysyłał, by z psami gonili jelenie. — Głupstwo i niedola kraju całego — oto rozum i moc wasza. — Ale dzień sądu bliski i w tym dniu obiecuję wam, że nie zapomnę o żadnym z was, o żadnym z ojców waszych, o żadnej chwale waszej. —

<sup>1)</sup> Powinno być: każdy.

<sup>2)</sup> Runo Złote—order, ustanowiony w r. 1429 przez Filipa Dobrego, księcia burgundzkiego.

<sup>3)</sup> Rodzaj lekkiego pancerza.

<sup>4)</sup> Robron — suknia kobieca.

MAŻ. Mylisz się, mieszczański synu. Ani ty, ani żaden z twoichby nie żył, gdyby ich nie wykarmiła łaska, nie obroniła potęga ojców moich. — Oni wam wśród głodu rozdawali zboże, wśród zarazy stawiali szpitale — a kiedyście z trzody zwierząt wyrosli na niemowlęta, oni wam postawili świątynie i szkoły — podczas wojny tylko zostawiali doma, bo wiedzieli, żeście nie do pola bitwy. —

Słowa twoje łamią się na ich chwale, jak dawniej strzały pohańców na ich świętych pancerzach — one ich popiołów nie wzruszą nawet — one zaginą, jak skowyczenia psa wściekłego, co bieży i pieni się, aż skona gdzie na drodze. — A teraz czas już tobie wyniść z domu mego. — Gościu, wolno puszczam ciebie. —

PANKRACY. Do widzenia na okopach Świętej Trójcy. — A kiedy wam kul zabraknie i prochu...

MAŻ. To się zbliżym na długość szabel naszych. — Do widzenia. —

PANKRACY. Dwa orły z nas <sup>1)</sup> — ale gniazdo twoje strzaskane piorunem. — (*bierze płaszcz i czapkę wolności*).

Przechodząc próg ten, rzucam nań przekleństwo, należne starości. — I ciebie i syna twego poświęcam zniszczeniu. —

MAŻ. Hej, Jakóbie! —

(*Jakób wchodzi*).

Odprowadzić tego człowieka aż do ostatnich czat moich na wzgórzu. —

JAKÓB. Tak mi, Panie Boże, dopomóż! — (*wychodzi*).

---

<sup>1)</sup> To znaczy, że obaj oni są wyżsi duchowo od swego otoczenia



## CZĘŚĆ CZWARTA.

Od baszt Św. Trójcy do wszystkich szczytów skał, po prawej, po lewej, z tyłu i na przodzie leży mgła śnieżysta, biała, niewzruszona, milcząca, mara oceanu, który niegdyś miał brzegi swoje, gdzie te wierzchołki czarne, ostre, szarpane, i głębokości swoje, gdzie dolina, której nie widać, i słońce, które jeszcze się nie wydobyło. —

Na wyspie granitowej, nagiej, stoją wieże zamku, wbite w skałę pracą dawnych ludzi i zrosłe ze skałą, jak pierś ludzką z grzbietem u Centaura <sup>1)</sup>). — Ponad nimi sztandar się wznosi, najwyższy i sam jeden wśród szarych błękitów.

Powoli śpiące obszary budzić się zaczęły — w górze słychać szumy wiatrów — z dołu promienie się cisną — i kra z chmur pędzi po tem morzu z wyziewów. —

Wtedy inne głosy, głosy ludzkie, przymieszają się do tej znikomej burzy i, niesione na mglistych bałwanach, roztrącają się o stopy zamku. —

Widna przepaść wśród obszarów, co pękły nad nią. —

Czarno tam w jej głębi, od głów ludzkich czarno — dolina cała zarzucona głowami ludzkimi, jako dno morza głazami. —

<sup>1)</sup> Postać z mitologii greckiej: pół-konia, pół-człowieka.

Słońce ze wzgórzów <sup>1)</sup> na skały wstępuje — w złocie unoszą się, w złocie roztapiają się chmury, a im bardziej nikną, tem lepiej słyhać wrzaski, tem lepiej dojrzeć można tłumy, płynące u dołu. —

Z gór podniosły się mgły — i konają teraz po nicościach błękitu. — Dolina Świętej Trójcy obsypana światłem migającej broni — i lud ciągnie zewsząd do niej, jak do równiny Ostatniego Sądu <sup>2)</sup>. —

\* \* \*

*Katedra w zamku Św. Trójcy. —*

*Państwo, senatory, dygnitarze siedzą po obu stronach, każdy pod posągami jakiego króla lub rycerza — za posągami tłumy szlachty — przed wielkim ołtarzem w głębi Arcybiskup, w krześle złocnem, z mieczem na kolanach — za ołtarzem chór kapłanów — Mąż stoi w progu przez chwilę, potem zaczyna iść powoli ku Arcybiskupowi ze sztandarem w ręku.*

CHÓR KAPŁANÓW. Ostatnie sługi Twoje, w ostatnim kościele Syna Twego, błagamy Cię za czią ojców naszych. — Od nieprzyjaciół wyratuj nas, Panie! <sup>3)</sup> —

(PIERWSZY HRABIA. Patrz, z jaką dumą spogląda na wszystkich. —

DRUGI HRABIA. Myśli, że świat podbił. —

TRZECI HRABIA. A on się tylko nocą przedarł przez obóz chłopów. —

PIERWSZY HRABIA. Sto trupów położył, a dwieście swoich utracił. —

DRUGI HRABIA. Nie dajmy, by go wodzem obrali. —

<sup>1)</sup> Zob. przyp. I cz. str. 55.

<sup>2)</sup> Aluzya do doliny Jozafatowej (między Jerozolimą a górą Oliwną), gdzie, wedle słów proroka Joela, odbędzie się Sąd Ostateczny. Wstęp ten jest jedynym niemal, a pięknym bardzo, krajobrazem w „Nie-Boskiej Komedyi”. Obraz ten powstał, jak się zdaje, pod wrażeniem lektury „Raju utraconego” Milтона.

<sup>3)</sup> Śpiew ten przypomina układem suplikacye kościoła katolickiego.

MAŻ (*klęka przed Arcybiskupem*). U stóp twoich składam zdobycz moją. —

ARCYBISKUP. Przypasz miecz ten, błogosławiony niegdyś ręką Św. Floryana <sup>1)</sup>. —

GŁOSY. Niech żyje Hr. Henryk — niech żyje! —

ARCYBISKUP. I przyjm ze znakiem Krzyża Św. dowództwo w tym zamku, ostatniem państwie naszym — wołą wszystkich mianuję cię wodzem. —

GŁOSY. Niech żyje — niech żyje! —

GŁOS JEDEN. Nie pozwalam <sup>2)</sup>. —

INNE GŁOSY. Precz — precz — za drzwi! — Niech żyje Henryk! —

MAŻ. Jeśli kto ma co do zarzucenia mnie, niechaj wystąpi, wśród tłumu się nie kryje. —

*(Chwila milczenia).*

Ojczy, szablę tę biorę i niech mi Bóg zrządzi zgon prędki, zawczesny, jeśli nią ocalić was nie zdołam. —

CHÓR KAPŁANÓW. Daj mu siłę — daj mu Ducha Świętego, Panie! — Od nieprzyjaciół wyratuj nas, Panie!

MAŻ. Teraz przysięgnijcie wszyscy, że chcecie bronić wiary i czci przodków waszych — że głód i pragnienie umorzy was do śmierci, ale nie do hańby — nie do poddania się — nie do ustąpienia choćby jednego z praw Boga waszego lub waszych. —

GŁOSY. Przysięgamy. —

*(Arcybiskup klęka i krzyż wznosi. Wszyscy klękają).*

CHÓR. Krzywoprzysięzca gniewem Twoim niech obarczony będzie! — Bojaźliwy gniewem Twoim niech obarczony będzie! — Zdrajca gniewem Twoim niech obarczony będzie! —

GŁOSY. Przysięgamy. —

<sup>1)</sup> Św. Floryan — Rzymianin, żołnierz, poniósł męczeństwo w początkach IV w.; relikwie jego przysłał papież Lucyusz III do Polski za Kazimierza Sprawiedliwego.

<sup>2)</sup> Echo nieszczęsnego polskiego liberum veto.

MAŻ (*dobywa miecza*). Teraz obiecuję wam sławę — u Boga wyproście zwycięstwo. — (*otoczony tłumem wychodzi*).

\* \* \*

*Jeden z dziedziców Świętej Trójcy — Mąż — hrabiowie — barony — księżęta — księża — szlachta. —*

HRABIA (*na stronę odprowadza Męża*). Jakże — wszystko stracone? —

MAŻ. Nie wszystko — chyba, że wam serca zabraknie przed czasem. —

HRABIA. Przed jakim czasem? —

MAŻ. Przed śmiercią. —

BARON (*odprowadza go w inną stronę*). Hrabio, podobno widziałeś się z tym okropnym człowiekiem? — Będzie on miał litości choć trochę nad nami, kiedy się dostaniem w ręce jego? —

MAŻ. Zaprawdę ci mówię, że o takiej litości żaden z ojców twoich nie słyszał — zowie się szubienica. —

BARON. Trza się bronić, jak można. —

MAŻ. Co Księżę mówi? —

KSIĄŻĘ. Parę słów na boku. — (*odchodzi z nim*). To wszystko dobre dla gminu, ale między nami oczywiście jest, że się oprzeć nie zdołamy. —

MAŻ. Cóż więc pozostaje? —

KSIĄŻĘ. Obrano cię wodzem, a zatem do ciebie należy rozpocząć układy. —

MAŻ. Ciszej — ciszej! —

KSIĄŻĘ. Dlaczego? —

MAŻ. Boś, Mości Księżę, już na śmierć zasłużył. — (*odwraca się do tłumu*). Kto wspomni o poddaniu się, ten śmiercią karany będzie <sup>1)</sup>. —

BARON, HRABIA, KSIĄŻĘ (*razem*). Kto wspomni o poddaniu się, ten śmiercią karany będzie. —

WSZYSCY. Śmiercią — śmiercią — wivat! — (*wychodzą*).

\* \* \*

<sup>1)</sup> Lepiej: karany będzie.

*Krużganek na szczycie wieży — Mąż — Jakób. —*

MAŻ. Gdzie syn mój?—

JAKÓB. W wieży północnej usiadł na progu starego więzienia i śpiewa prorocтва. —

MAŻ. Najmocniej osadz basztę Eleonory — sam nie ruszaj się stamtąd i cō kilka minut patrzaj lunetą na obóz buntowników. —

JAKÓB. Wartoby, tak mi, Panie Boże, dopomóż, dla zachęty rozdać naszym po szklance wódki. —

MAŻ. Jeśli potrzeba, każ otworzyć nawet piwnice naszych hrabiów i książąt. —!

*(Jakób wychodzi — Mąż wchodzi kilkoma schodami wyżej, pod sam sztandar, na płaski taras).*

Całym wzrokiem oczu moich, całą nienawiścią serca obejmuję was, wrogі. — Teraz już nie marnym głosem, nie mdłym natchnieniem będę walczył z wami, ale żelazem i ludźmi, którzy mnie się poddali. —

Jakże tu dobrze być panem, być władcą — choćby z łoża śmierci spoglądać na cudze wole, skupione naokoło siebie, i na was, przeciwników moich, zanurzonych w przepaści, krzyczących z jej głębi ku mnie, jak potępieni wołają ku niebu. —

Dni kilka jeszcze, a może mnie i tych wszystkich nędzarzy, co zapomnieli o wielkich ojcach swoich, nie będzie — ale bądź co bądź — dni kilka jeszcze pozostało — użyję ich rozkoszy mej kwoli <sup>1)</sup> — panować będę — walczyć będę — żyć będę. — To moja pieśń ostatnia! <sup>2)</sup> —

Nad skałami zachodzi słońce w długiej, czarnej trumnie z wyziewów. — Krew promienista zewsząd leje się na dolinę. — Znaki wieszczce zgonu mojego, pozdrawiam was szczerzem, otwartsem sercem, niż kiedykolwiek wprzōdy witałem obietnice wesela, ułudy, miłości. —

<sup>1)</sup> Rozkoszy kwoli lub gwoli — dla rozkoszy.

<sup>2)</sup> Tu więc doczekał się Henryk spełnienia obietnicy orla.

Bo nie podłą pracą, nie podstępem, nie przemysłem doszedłem końca życzeń moich — ale nagle, znienacka, tak, jakom marzył zawždy <sup>1)</sup>. —

I teraz tu stoję na poganiczach snu wiecznego, wozdem tych wszystkich, co mi wczoraj jeszcze równymi byli <sup>2)</sup>. —

\* \* \*

*Komnata w zamku, oświetlona pochodniami — Orcio siedzi na łożu — Mąż wchodzi i składa broń na stole. —*

MAŻ. Sto ludzi zostawić na szanćach — reszta niech odpocznie po tak długiej bitwie. —

GŁOS ZA DRZWIAMI. Tak mi, Panie Boże, dopomóż! —

MAŻ. Zapewne słyszałeś wystrzały, odgłosy naszej wycieczki — ale bądź dobrej myśli, dziecię moje, nie przedpadniemy jeszcze ni dzisiaj, ni jutro. —

ORCIO. Słyszałem, ale to nie tknęło mi serca — huk przeleciał i niema go więcej — co innego w dreszcz mnie wprawia, ojcz. —

MAŻ. Lękałeś się o mnie. —

ORCIO. Nie — bo wiem, że twoja godzina nie nadeszła jeszcze.

MAŻ. Sami jesteśmy — ciężar spadł mi z duszy na dzisiaj — bo tam w dolinie leżą ciała pobitych wrogów. — Opowiedz mi wszystkie myśli twoje — będę ich słuchał, jak dawniej w domu naszym. —

ORCIO. Za mną, za mną, ojcz — tam straszny sąd co noc się powtarza. — (*idzie ku drzwiom skrytym w murze i otwiera je*).

MAŻ. Gdzie <sup>3)</sup> idziesz? — Kto ci pokazał to przejście? — tam lochy wiecznie ciemne, tam gniją dawnych ofiar kości. —

<sup>1)</sup> Archaizm: zawsze.

<sup>2)</sup> Jest ten monolog obrazem samotnych rozmyślań i marzeń poety, zamkniętego w ciemnym pokoju ze swemi myślami

<sup>3)</sup> Lepiej: dokąd.

ORCIO. Gdzie oko twoje, zwyczajne słońcu, nie dowi-  
dzi — tam duch mój stąpać umie. — Ciemności, idźcie do  
ciemności! <sup>1)</sup> — (*zstępuje*).

\* \* \*

*Lochy podziemne — kraty żelazne, kajdany, narzędzia do tortur  
połamane, leżące na ziemi — Mąż z pochodnią u stóp głazu,  
na którym Orcio stoi. —*

MAŻ. Zejdź, błagam cię, zejdź do mnie. —

ORCIO. Czy nie słyszysz ich głosów, czy nie widzisz  
ich kształtów? —

MAŻ. Milczenie grobów — a światło pochodni na kilka  
stóp tylko rozświeca przed nami. —

ORCIO. Coraz już bliżej — coraz już widniej — idą  
z pod ciasnych sklepień jeden po drugim i tam zasiadają  
w głębi. —

MAŻ. W szaleństwie twojem potępienie moje — sza-  
lejesz, dziecię, i siły moje niszczysz, kiedy mi ich tyle po-  
trzeba. —

ORCIO. Widzę duchem blade ich postacie, poważne,  
kupiące się na sąd straszny. — Oskarżony już nadchodzi  
i, jako mgła, płynie. —

CHÓR GŁOSÓW. Siłą, nam daną za męki nasze, my,  
niegdyś przykuci, smagani, dręczeni, żelazem rwani, trucizną  
pojeni, przywaleni cegłami i żwirem, dręczmy i sądźmy,  
sądźmy i potępiamy — a kary szatan się podejmie. —

MAŻ. Co widzisz? —

ORCIO. Oskarżony — oskarżony — ot załamał dłonie. —

MAŻ. Kto on jest? —

ORCIO. Ojczy — ojczy! <sup>2)</sup> —

GŁOS JEDEN. Na tobie się kończy ród przeklęty —  
w tobie ostatnim zebrał wszystkie siły swoje i wszystkie  
namiętności swe i całą dumę swoją, by skonać. —

<sup>1)</sup> Orcio jest ślepy, otaczają go więc ciemności, wśród których  
zstępuje do ciemności, t. j. do podziemi.

<sup>2)</sup> Oskarżonym jest sam Henryk, jako wcielenie porządku spo-  
łecznego, opartego na ucisku i gwałcie.

CHÓR GŁOSÓW. Za to, żeś nic nie kochał, nic nie czcił, prócz siebie, prócz siebie i myśli twych, potępion jesteś — potępion na wieki <sup>1)</sup>. —

MAŻ. Nic dojrzeć nie mogę, a słyszę z pod ziemi, nad ziemią, po bokach westchnienia i żale, wyroki i groźby. —

ORCIO. On teraz podniósł głowę, jako ty, ojcze, kiedy się gniewasz — i odparł dumnym słowem, jako ty, ojcze, kiedy pogardzasz. —

CHÓR GŁOSÓW. Daremno — daremno — ratunku nie ma dla niego ni na ziemi, ni w niebie. —

GŁOS JEDEN. Dni kilka jeszcze chwały ziemskiej, znikomej, której mnie i braci moich pozbawili naddziady twoje — a potem zaginiesz, ty i bracia twoi — i pogrzeb wasz jest bez dzwonów żałoby — bez łkania przyjaciół i krewnych — jako nasz był niegdyś na tej samej skale boleści. —

MAŻ. Znam ja was, podle duchy, marne ogniki, latające wśród ogromów anielskich. — (*idzie kilka kroków naprzód*). —

ORCIO. Ojcze, nie zapuszczaj się w głąb — na Chrystusa imię święte zaklinam cię, ojcze. —

MAŻ (*wraca*). Powiedz, powiedz, kogo widzisz?

ORCIO. To postać —

MAŻ. Czyja?

ORCIO. To drugi ty jesteś — cały błądy — spętany — oni teraz męczą ciebie — słyszę jęki twoje. — (*pada na kolana*). Przebacz mi, ojcze — matka pośród nocy przyszła i kazała... (*mdleje*). —

MAŻ (*chwytą go w objęcia*). Tego nie dostawało. — Ha! dziecię własne przywiodło mnie do progu piekła! — Maryo! <sup>2)</sup> nieubłagany duchu — Boże! i Ty, druga Maryo <sup>3)</sup>, do której modliłem się tyle! —

<sup>1)</sup> Jako przedstawiciel arystokracji, Henryk jest potępiony za egoizm kastowy, jako jednostka — za egoizm artystyczny.

<sup>2)</sup> Zmarła żona Henryka.

<sup>3)</sup> T. j. Najświętsza Marya Panna.



Tam poczyna się nieskończoność mąk i ciemności — Nazad! — muszę jeszcze walczyć z ludźmi — potem wieczna walka. — (*ucieka z synem*).

CHÓR GŁOSÓW (*w oddali*). Za to, żeś nic nie kochał, nic nie czcił prócz siebie, prócz siebie i myśli twych, potępion jesteś — potępion na wieki. —

*Sala w zamku Świętej Trójcy — Mąż — kobiety, dzieci, kilku starców i hrabiów, klęczących u stóp jego — Ojciec chrzestny stoi w środku sali — tłum w głębi — broje zawieszane, gotyckie filary, ozdoby, okna. —*

MAŻ. Nie — przez syna mego — przez żonę nieboszczkę moją, nie — jeszcze raz mówię — nie! —

GŁOSY KOBIECE. Zlituj się — głód pali wnętrze nasze i dzieci naszych — dniem i nocą strach nas pożera. —

GŁOSY MĘŻCZYŹN. Jeszcze pora — słuchaj posła — nie odsyłaj posła. —

OJCIEC CHRZESTNY. Całe życie moje obywatelskiem było i nie zważam na twoje wyrzuty, Henryku. — Jeślim się podjął urzędu poselskiego, który w tej chwili sprawuję, to że znam wiek mój i cenić umiem całą wartość jego. — Pankracy jest reprezentantem <sup>1)</sup> obywatelem, że tak rzekę... <sup>2)</sup>

MAŻ. Precz z oczu moich, stary! —

(*na stronie do Jakóba*).

Przyprowadź tu oddział naszych. —

(*Jakób wychodzi — kobiety powstają i płaczą — mężczyźni się oddalają o kilka kroków*).

BARON. Zgubiłeś nas, hrabio. —

<sup>1)</sup> T. j. przedstawicielem.

<sup>2)</sup> Ojciec chrzestny przemawia tu, jak i gdzieindziej, z przesadną deklamacyjnością i sztuczną powagą, bez względu na to, w której sprawie głos zabiera.

DRUGI. Wypowiadamy ci posłuszeństwo <sup>1)</sup>. —

KSIĄŻĘ. Sami ułożymy z tym zacnym obywatelem warunki poddania zamku. —

OJCIEC CHRZESTNY. Wielki mąż, który mnie przyśłał, obiecuje wam życie, bylebyście przyłączyli się do niego i uznali dążenie wieku. —

KILKA GŁOSÓW. Uznajemy — uznajemy. —

MAŻ. Kiedyście mnie wezwali, przysięgłem zginąć na tych murach — dotrzymam, i wy wszyscy zginiecie wraz ze mną. —

Ha! chce się wam żyć jeszcze! —

Ha! zapytajcie ojców waszych, po co gnębili i panowali! —

*(do hrabiego).*

A ty czemu uciskałeś poddanych? —

*(do drugiego).*

A ty czemu przepędziłeś wiek młody na kartach i podróżach daleko od Ojczyzny? —

*(do innego).*

Ty się podliłeś wyższym, gardziłeś niższymi. —

*(do jednej z kobiet).*

Dlaczegożś dzieci nie wychowałaś sobie na obrońców — na rycerzy? — Terazby ci się zdały na coś — aleś kochała Żydów, adwokatów — proś ich o życie teraz <sup>2)</sup>. —

*(staje i wyciąga ramiona).*

Czego się tak śpieszycie do hańby — co was tak nęci, by upodlić wasze ostatnie chwile? — Naprzód raczej za mną, naprzód, Mości Panowie, tam, gdzie kule i bagnety —

<sup>1)</sup> W Rzeczypospolitej polskiej szlachta również przywłaszczyła sobie prawo wypowiadania posłuszeństwa królowi, nie dotrzymującemu *pactów conwentów* (t. zw. statut *de non praestanda oboedientia*).

<sup>2)</sup> Spodlenie arystokracji polskiej po r. 1831, przejmujące wstrętem marzycielską duszę Krasińskiego, znalazło tu wyraz najsilniejszy.

nie tam, gdzie szubienica i kat milczący, z powrozem w dłoni na szyje wasze. — ]

KILKA GŁOSÓW. Dobrze mówi — na bagnety! —

INNE GŁOSY. Kawałka chleba już niema. —

KOBIECE GŁOSY. Dzieci nasze, dzieci wasze! —

WIELE GŁOSÓW. Poddać się trzeba — układy — układy! —

OJCIEC CHRZESTNY. Obiecuję wam całość, że tak rzekę, nietykalność osób i ciał waszych. —

MAŻ (*przybliży się do Ojca chrzestnego i chwytą go za piersi*). Święta osobo posła, idź skryć siwą głowę pod namioty przechrztów i szewców, bym ją krwią twoją własną nie zmasał. —

(*wchodzi oddział zbrojnych z Jakóbem*).

Na cel mi wziąć<sup>1)</sup> to czoło, zorane zmarszczkami marnej nauki — na cel tę czapkę wolności, drżącą od tchnienia słów moich, na tej głowie bez mózgu. —

(*Ojciec chrzestny się wymyka*).

WSZYSCY (*razem*). Związać go — wydać Pankracemu! —

MAŻ. Chwila jeszcze, Mości Panowie. —

(*Chodzi od jednego żołnierza do drugiego*).

Z tobą, zda mi się, wdzieralem się na góry za dzikim zwierzem — pamiętasz, wyrwałem cię z przepaści. —

(*do innych*).

Z wami rozbiłem się na skałach Dunaju — Hieronimie, Krzysztofie, byliście ze mną na Czarnem morzu. —

(*do innych*).

Wam odbudowałem chaty zgorzałe. —

(*do innych*).

Wyście uciekli do mnie od złego pana. — A teraz mówcie — pójdziecie za mną, czy zostawicie mnie samego,

<sup>1)</sup> Pow. b.: wziąć.

ze śmiechem na ustach, zem wpośród tylu ludzi jednego człowieka nie znalazł? —

WSZYSCY. Niech żyje hr. Henryk — niech żyje! —

MAŻ. Rozdać im, co zostało wędliny i wódki — a potem na mury! —

WSZYSCY ŻOŁNIERZE. Wódki — mięsa — a potem na mury! —

MAŻ. Idź z nimi, a za godzinę bądź gotów do walki. —

JAKÓB. Tak mi, Panie Boże, dopomóż! —

GŁOSY KOBIECE. Przeklinamy cię za niewiniątka nasze. —

INNE GŁOSY. Za ojców naszych. —

INNE GŁOSY. Za żony nasze. —

MAŻ. A ja za podłość waszą. (*wychodzi*). —

\* \* \*

*Okopy Świętej Trójcy — trupy naokoło — działa potrzaskane — broń leżąca na ziemi — tu i ówdzie biegną żołnierze — Mąż oparty o szaniec, Jakób przy nim. —*

MAŻ (*szablę chowając do pochwy*). Niema rozkoszy, jak grać w niebezpieczeństwo i wygrywać zawždy<sup>1)</sup>, a kiedy nadejdzie przegrać — to raz jeden tylko. —

JAKÓB. Ostatnimi naszymi nabojami skropieni odstąpili, ale tam w dole się gromadzą i niedługo wrócą do szturm — darmo, nikt losu przeznaczonego nie uszedł, od kiedy świat światem. —

MAŻ. Niema już więcej kartaczy? —

JAKÓB. Ani kul, ani lotek<sup>2)</sup>, ani śrutu — wszystko się przebiera nareszcie. —

MAŻ. A więc syna mi przyprowadź, bym go raz jeszcze uściskał. —

(*Jakób odchodzi*).

Dym bitwy zamglił oczy moje — zda mi się, jakby dolina wzdymała się i opadała nazad — skały w sto kątów

<sup>1)</sup> Zawždy — zawsze (starop.).

<sup>2)</sup> Lotki, loftki — małe kulki, gruby śrut myśliwski.

łamią się i krzyżują<sup>1)</sup> — dziwnym szykiem także ciągną myśli moje. — (*siada na murze*).

Człowiekiem być nie warto — aniołem nie warto. — Pierwszy z archaniołów po kilku wiekach, tak ja my po kilku latach bytu, uczułem nudę w sercu swoim i zapragnął potężniejszych sił<sup>2)</sup>. — Trza być Bogiem lub nicością<sup>3)</sup>. —

(*Jakób przychodzi z Orciem*).

Weź kilku naszych, obejdz sale zamkowe i pędź do murów wszystkich, co spotkasz. —

JAKÓB. Bankierów, i hrabiów, i książąt. — (*odchodzi*).

MAŻ. Chodź, synu — połóż tu rękę swoją na dłoni mojej — czołem ust moich się dotknij — czoło matki twojej niegdyś było takiej samej bieli i miękkości. —

ORCIO. Słyszałem głos jej dzisiaj, nim zerwali się mężę twoi do broni — słowa jej płynęły tak lekko, jak wonie, i mówiła: — „Dziś wieczorem zasiądziesz przy mnie”. —

MAŻ. Czy wspomniała choćby imię moje? —

ORCIO. Mówiła: „Dziś wieczorem czekam na syna mego”. —

MAŻ (*na stronie*). U końca drogi czyż opadnie mnie siła? — Nie daj tego, Boże! — Za jedną chwilę odwagi masz mnie więzaniem twoim przez wieczność całą<sup>4)</sup>. — (*głośno*)

O synu, przebacz, że ci dałem życie — rozstajemy się — czy wiesz, na jak długo? —

ORCIO. Weź mnie i nie puszczaj — nie puszczaj — ja cię pociągnę za sobą. —

MAŻ. Różne drogi nasze — ty zapomnisz o mnie wśród chórów anielskich, ty kropli rosy nie rzucisz mi z góry — O Jerzy — Jerzy! — O synu mój! —

<sup>1)</sup> Złudzenie wzrokowe, pospolite w górach; doznawał go poeta zapewne w Szwajcaryi.

<sup>2)</sup> Mowa tu o Szatanie, który walczył z Krzyżem; zapewne słycać w tych wyrazach wspomnienie „Raju utraconego” Milтона.

<sup>3)</sup> Jeden to z najsilniejszych wyrazów goryczy, a zarazem pychy, w ustach Henryka.

<sup>4)</sup> Z rozmowy powyższej wynika, że Henrykowi przeznaczone jest być potępionym na wieki; od tej chwili ma on tego zupełną świadomość.

ORCIO. Co za krzyki? — Drzę cały — coraz groźniej — coraz bliżej — huk dział i strzelb się rozlega — godzina ostatnia, przepowiedziana, ciągnie ku nam. —

MAŻ. Śpieszaj, śpieszaj, Jakóbie! —

*(Orszak hrabiów i książąt przechodzi przez dolny dziedziniec — Jakób z żołnierzami idzie za nim).*

GŁOS JEDEN. Daliście odłamki broni i bić się kaciecie. —

GŁOS DRUGI. Henryku, ulituj się! —

TRZECI. Nie gnaj nas, słabych, zgłodniałych, ku murom! —

INNE GŁOSY. Gdzie <sup>1)</sup> nas pędzą — gdzie?

MAŻ *(do nich)*. Na śmierć. — *(do syna)*. Tym uściskiem chciałbym się z tobą połączyć na wieki — ale trza mi w inszą stronę <sup>2)</sup>. —

*(Orcio pada, trafiony kulą).*

GŁOS W GÓRZE <sup>3)</sup>. Do mnie, do mnie, duchu czysty — do mnie, synu mój! —

MAŻ. Hej! do mnie, ludzie moi! *(dobywa szablę i przykłada do ust leżącego)*. Klinga szklanna <sup>4)</sup>, jak wprzódy — oddech i życie uleciały razem. —

Hej! tu — naprzód — już się wdarli na długość szabli mojej — nazad, w przepaść, syny wolności! —

*(Zamieszanie i bitwa).*

*Inna strona okopów — słychać odgłosy walki — Jakób rozciągnięty na murze — Mąż nadbiega, krwią oblanym. —*

MAŻ. Cóż ci jest, mój wierny, mój stary? —

<sup>1)</sup> Lepiej: dokąd.

<sup>2)</sup> T. j. na potępienie wieczne, gdy Orcio będzie zażywał wiecznej szczęśliwości.

<sup>3)</sup> Jest to głos Maryi, żony Henryka.

<sup>4)</sup> T. j. czysta, nie zamglona oddechem.

JAKÓB. Niech ci czart odpłaci w piekle upór twój i męki moje. — Tak mi, Panie Boże, dopomóż! — (*umiera*).

MAŻ (*rzucając pałasz*). Niepotrzebnyś mi dłużej — wyginęli moi, a tamci, klęcząc, wyciągają ramiona ku zwycięzcom i bełkoczą o miłosierdzie. — (*sposziera naokoło*).

Nie nadchodzą jeszcze w tę stronę — jeszcze czas — odpocznijmy chwilę. — Ha! Już się wdarli na wieżę północną — ludzie nowi się wdarli na wieżę północną — i patrzą, czy gdzie nie odkryją hrabiego Henryka. — Jestem tu — jestem — ale wy mnie sądzić nie będziecie. — Ja się już wybrałem w drogę — ja stąпам ku sądowi Boga. — (*Staje na odłamku baszty, wiszącym nad samą przepaścią*).

Widzę ją całą czarną, obszarami ciemności płynącą do mnie, wieczność moją, bez brzegów, bez wysep, bez końca, a pośrodku jej Bóg, jak słońce, co się wiecznie pali — wiecznie jaśnieje — a nic nie oświeca. — (*krokiem dalej się posuwa*).

Biegną, zobaczyli mnie — Jezus, Marya! — Poezyo, bądź mi przeklęta, jako ja sam będę na wieki! — Ramiona, idźcie i przerzynajcie te wały! — (*skacze w przepaść*).



*Dziedzinec zamkowy — Pankracy — Leonard — Bianchetti na czele tłumów — przed nimi przechodzą hrabiowie, księżęta, z żonami i dziećmi, w łańcuchach. —*

PANKRACY. Twoje imię?

HRABIA. Krzysztof na Volsagunie. —

PANKRACY. Ostatni raz go<sup>1)</sup> wymówiłeś — a twoje?

KSIĄŻĘ. Władysław, pan Czarnolasu. —

PANKRACY. Ostatni raz go<sup>2)</sup> wymówiłeś — a twoje?

BARON. Aleksander z Godalberg. —

PANKRACY. Wymazane z pośród żyjących — idź! —

BIANCHETTI (*do Leonarda*). Dwa miesiące nas trzy mali, a nędzny rząd armat i ladajakie parapety<sup>3)</sup>. —

1) Błąd, pow. b.: je.

2) Zob wyżej.

3) Parapety — rodzaj wałów ziemnych.

LEONARD. Czy dużo ich tam jeszcze?—

PANKRACY. Oddaję ci wszystkich — niech ich krew płynie dla przykładu świata — a kto z was mi powie, gdzie Henryk, temu daruję życie. —

RÓŻNE GŁOSY. Zniknął przy samym końcu. —

OJCIEC CHRZESTNY. Staję teraz, jako pośrednik między tobą a niewolnikami twoimi — tymi przezacnego rodu obywatelami, którzy, wielki człowiecze, klucze zamku Św. Trójcy złożyli w ręce twoje. —

PANKRACY. Pośredników nie znam tam, gdzie zwyciężyłem siłą własną. — Sam dopilnujesz ich śmierci. —

OJCIEC CHRZESTNY. Całe życie moje obywatelskiem było, czego są dowody niemałe, a jeśli się połączył z wami, to nie na to, bym własnych braci szlachtę...

PANKRACY. Wziąć<sup>1)</sup> starego doktrynera<sup>2)</sup> — precz, w jedną drogę z nimi! —

*(Żołnierze otaczają Ojca chrzestnego i niewolników).*

Gdzie Henryk? czy kto z was nie widział go żywym lub umarłym? — Wór pełny złota za Henryka — choćby za trup jego! —

*(oddział zbrojnych schodzi z murów).*

A wy nie widzieliście Henryka?

NACZELNIK ODDZIAŁU. Obywatelu wodzu, udałem się za rozkazem generała Bianchetti ku stronie zachodniej szaniców; zaraz na początku wejścia naszego do fortecy i na trzecim zakręcie bastyonu ujrzałem człowieka rannego i stojącego bez broni przy ciele drugiego. — Kazałem podwoić kroku, by schwytać — ale nim zdążyliśmy, ów człowiek zeszedł trochę niżej, stanął na głazie chwiejącym się i patrzył chwilę obłąkanym wzrokiem — potem wyciągnął ręce, jak pływacz, który ma dać nurka, i pchnął się z całej siły naprzód — słyszeliśmy wszyscy odgłos ciała, spadającego po urwiskach — a oto szabla, znaleziona kilka kroków dalej. —

<sup>1)</sup> Pow. b.: wziąć.

<sup>2)</sup> Doktryner—bezwzględny wyznawca jakiejś teorii.



PANKRACY (*biorąc szablę*). Ślady krwi na rękojeści — poniżej herb jego domu. —

To pałasz hrabiego Henryka — on jeden z pośród was dotrzymał słowa. — Za to chwalał jemu, gilotyina wam. —

Generale Bianchetti, zatrudnij się zburzeniem warowni i dopełnieniem wyroku.

Leonardzie! — (*wstępuje na basztę z Leonardem*).

LEONARD. Po tylu nocach bezsennych powinienbyś odpocząć, mistrzu — znać strudzenie na rysach twoich. —

PANKRACY. Nie czas mi jeszcze zasnąć, dziecię, bo dopiero połowa pracy dojdzie końca swojego z ich ostatniem westchnieniem. — Patrz na te obszary — na te ogromy, które stoją w poprzek między mną a myślą moją — trza zaludnić te puszcze — przedrażyć te skały — połączyć te jeziora — wydzielić grunt każdemu, by we dwójnasób tyle życia się urodziło na tych równinach, ile śmierci teraz na nich leży. — Inaczej dzieło zniszczenia odkupionem nie jest. —

LEONARD. Bóg wolności sił nam podda. —

PANKRACY. Co mówisz o Bogu — ślizko tu od krwi ludzkiej. — Czyż to krew? — Za nami dziedzińce zamkowe — sami jesteśmy, a zda mi się, jakoby tu był ktoś trzeci. —

LEONARD. Chyba to ciało przebite.

PANKRACY. Ciało jego powiernika<sup>1)</sup> — ciało martwe — ale tu duch czyjś panuje — a ta czapka — ten sam herb na niej — dalej, patrz, kamień, wystający nad przepaścią — na tem miejscu serce jego pękło<sup>2)</sup>. —

LEONARD. Bledniejesz<sup>3)</sup>, mistrzu. —

PANKRACY. Czy widzisz tam wysoko — wysoko? —

LEONARD. Nad ostrym szczytem widzę chmurę pochylą, na której dogasają promienie słońca. —

PANKRACY. Znak straszny pali się na niej. —

LEONARD. Chyba cię myli wzrok. —

1) Zapewne ciało Jakóba, wiernego sługi Henryka.

2) T. j. serce Henryka.

3) Lepiej: bledniesz.

PANKRACY. Milion ludu słuchało mnie przed chwilą — gdzie jest lud mój? —

LEONARD. Słyszysz ich okrzyki — wołają ciebie — czekają na ciebie. —

PANKRACY. Plotły kobiety i dzieci, że się tak zjawić ma, lecz dopiero w ostatni dzień<sup>1)</sup>. —

LEONARD. Kto? —

PANKRACY. Jak słup śnieżnej jasności, stoi ponad przepaściami — oburącz wspart na krzyżu, jak na szabli mściciel. — Ze splecionych piorunów korona cierniowa. —

LEONARD. Co się z tobą dzieje? co tobie jest? —

PANKRACY. Od błyskawicy tego wzroku chyba mrze, kto żyw. —

LEONARD. Coraz to bardziej rumieniec zbiega ci z twarzy — chodźmy stąd — chodźmy — czy słyszysz mnie? —

PANKRACY. Połóż mi dłonie na oczach — zadław mi pięściami źrenice — oddziel mnie od tego spojrzenia, co mnie rozkłada w proch. —

LEONARD. Czy dobrze tak? —

PANKRACY. Nędzne ręce twe — jak u ducha, bez kości i mięsa — przezryste, jak woda — przezryste, jak szkło — przezryste, jak powietrze. — Widzę wciąż! —

LEONARD. Oprzyj się na mnie. —

PANKRACY. Daj mi choć odrobinę ciemności! —

LEONARD. O mistrzu mój! —

PANKRACY. Ciemności — ciemności! —

LEONARD. Hej! obywatele — hej! bracia — demokraci, na pomoc! — Hej! ratunku — pomocy — ratunku! —

PANKRACY. Galilaeae, vicisti!<sup>2)</sup> (*stacza się w objęcia Leonarda i kona*).

<sup>1)</sup> Chrystus, który ma się zjawić w dzień Sądu Ostatecznego (por. „Objawienie Św. Jana”).

<sup>2)</sup> „Zwyciężyłeś, Galilejczyku!” (t. j. Chrystusie), okrzyk umierającego w bitwie z Persami cesarza rzymskiego, Juliana Apostaty, nieprzyjaciela chrześcijan (w r. 363). Okrzyk ten w ustach Pankracygo oznacza tryumf idei miłości, uosobionej w Chrystusie, nad nienawiścią, której głosicielem był Pankracy. Chrystus więc, nie Pankracy i nie Henryk, zbuduje świat nowy, oparty na sprawiedliwości i wzajemnem miłowaniu.

L  
P  
E

PANK RANU

1000

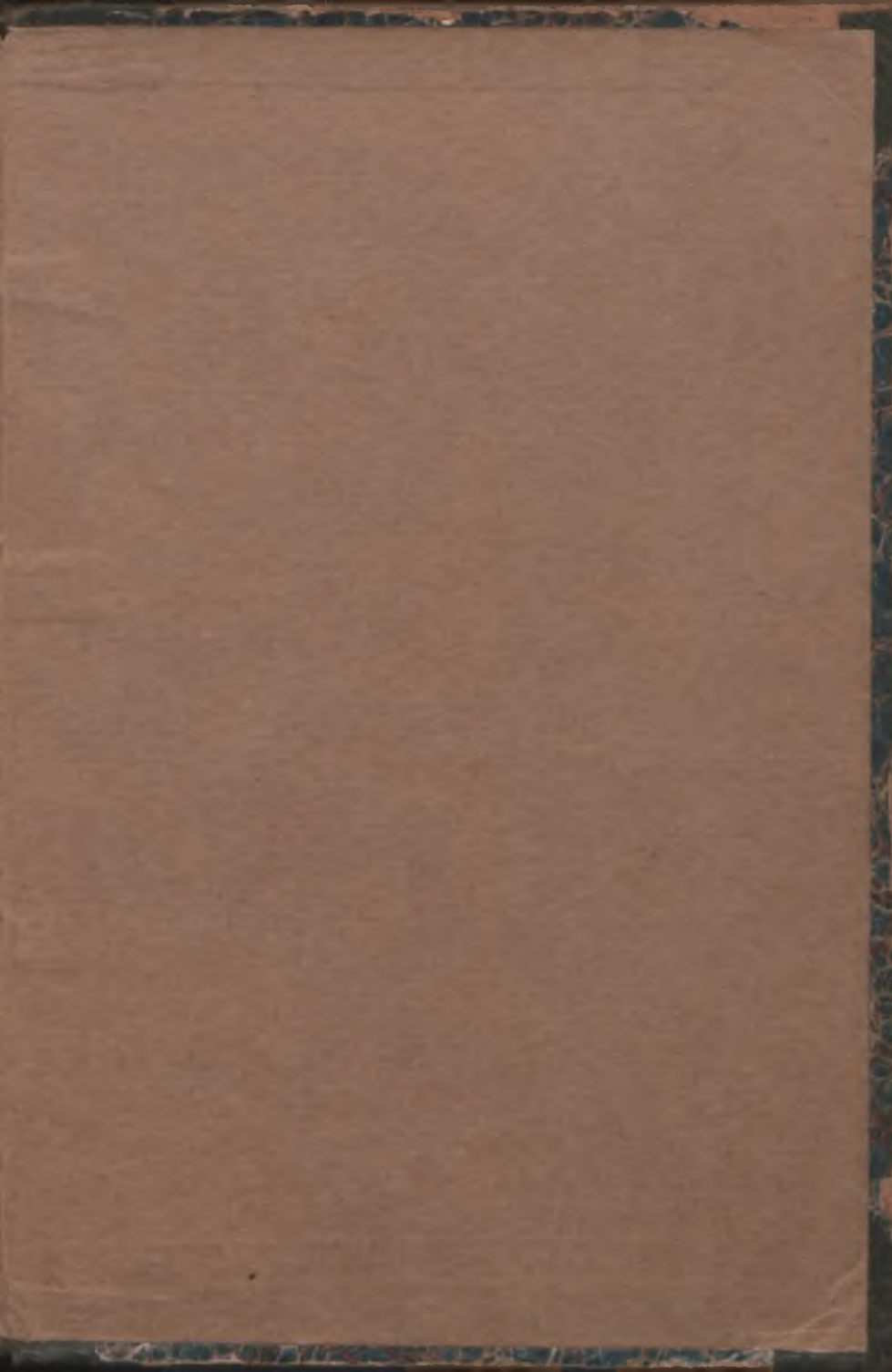


173456  
xt. 10.—

19021

g.—

+



NIE WYPOŻYCZA SIĘ  
DO DOMU

Pedagogiczna Biblioteka Wojewódzka  
w Gdańsku

**26907**



26907